

Równość

Stowarzyszenie
im. Tadeusza Regera

kwartalnik
nr 3/2022
ISSN 2081-4518

*Miasto
- żywy
organizm*



- 2 **Miasto to nie firma** – rozmowa Pawła Golińskiego z Piotrem Ikonowiczem
- 4 **Kronika miast osieroconych.
O Nie ma i nie będzie Magdaleny Okraski** Agnieszka Pietrzak
- 8 **Jak kraj długi – Hansenowie** Bartosz Klimas
- 11 **Miasto od peryferii.
Zdecentralizujmy miejską historię** Dariusz Zalega
- 14 **Nie tylko betonoza.
Miasta w dobie zmian klimatu** Filip Górski
- 19 **Politycy prawicy, Wasz głos w sprawie adaptacji miast do skutków
zmiany klimatu bardzo się liczy** – rozmowa Michała Pytlika z Jackiem Lekkim
- 23 **Czy zakazać budowy domów jednorodzinnych?** Katarzyna Gasparska
- 26 **Miasta dwóch prędkości w Azji, Afryce
i Ameryce Łacińskiej** Adrianna Zipper
- 31 **Młodzi wyjeżdżają** Mateusz Merta
- 35 **Miasto moje, a w nim queer** Piotr Masierak

O mieście pisaliśmy na łamach kwartalnika „Równość” wiele razy. Poruszaliśmy takie kwestie, jak gentryfikacja, nadmierna turystyka, transport, dostępność mieszkań, segregacja ludności i getto mieszkaniowe, ale także koncepcje miast przyszłości, sport w mieście zimą czy miejska ekologia, a i tak nie wyczerpaliśmy tematu. Dlatego właśnie wracamy do was z numerem *Miasto – żywy organizm*, w którym poszerzamy perspektywę, wymieniamy kolejne problemy i wyzwania oraz podajemy możliwe rozwiązania.

Numer otwiera rozmowa Pawła Golińskiego z Piotrem Ikonowiczem, który pokrótce przedstawia nam socjalistyczną wizję miasta. Od początku wydawania „Równości” staramy się odczarować słowo „socjalista”, sprawdźcie zatem, czy Ikonowicz przekona was do swojej wizji.

Agnieszka Pietrzak napisała dla nas tekst o *Nie ma i nie będzie* Magdaleny Okraski. I tak, wiemy, przez formułę kwartalnika nie będzie to pewnie pierwsza recenzja tego tytułu, którą przeczytacie, ale za to będzie merytorycznie i nieprzekonani zostaną przekonani do sięgnięcia po tę książkę.

W „Równości” często odwołujemy się do historii – tym razem Bartosz Klimas przedstawia nam koncepcję Linearnego Systemu Ciągłego i opowiada o projektach architektonicznych małżeństwa Hansenów z ubiegłego wieku. Z kolei Dariusz

Zalega pisze o tym, jak szukać historii miast i czy zawsze sprowadza się ona do samego centrum.

Pierwsze skojarzenia z miastem to bardzo często beton; nawet projektując dla nas grafikę na okładkę, Alicja Beryt zapomniała o roślinach, ale jej przypomniał, stąd na okładce kilka drzew. O problematycznym betonie mówi się sporo, a to nie jest jedyne wyzwanie, jakie stoi przed nami, dlatego nie tylko o betonozie napisał dla nas Filip Górski. Pozostając w temacie wyzwań klimatycznych, Michał Pytlik przeprowadził rozmowę z aktywistą Jackiem Lekkim z inicjatywy *Moratorium dla Drzew*. W moim tekście przeczytacie, *Czy powinniśmy zakazać budowy domów jednorodzinnych?*

Jakie jeszcze wyzwania stoją przed miastami? O *Miastach dwóch prędkości* pisze dla nas Adriana Zipper, która bierze pod lupę miasta w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej, a Mateusz Merta szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego *Młodzi wyjeżdżają*. O nieoczywistych plusach mieszkania w mieście przeczytacie w artykule Piotra Masieraka *Miasto moje, a w nim queer*.

Pewnie nie raz jeszcze wrócimy do tematu miasta, dlatego jeśli czujecie niedosyt, śledźcie naszą stronę rownosc.eu.

Zapraszam do lektury!
Katarzyna Gasparska

Paweł Goliński

Miasto to nie firma

rozmowa z PIOTREM IKONOWICZEM z Ruchu Sprawiedliwości Społecznej

PAWEŁ GOLIŃSKI: Opowiedz, proszę, na jakich elementach powinno być oparte współczesne miasto rządzone przez socjalistów.

PIOTR IKONOWICZ: Przede wszystkim na tym, aby nie było pustych mieszkań, zgodnie z hasłem: *Żadnego mieszkania bez lokatora i żadnego człowieka bez dachu nad głową*. Ważne jest to, żeby miasto nie było podzielone na strefy ekonomiczne, czyli żeby usunąć podział na biedne

i bogate dzielnice i każdy bez względu na zarobki mógł mieszkać w dowolnej części miasta. To nie jest takie łatwe, ponieważ istnieje ryzyko, że gospodarka mieszkaniowa funkcjonowałaby na zasadach wolnorynkowych, ale wystarczy, by miasto miało mieszkania z zasobu lokalowego na całym swoim terytorium. Wtedy we wszystkich dzielnicach będzie występował mikś społeczny, a na tych samych podwórkach będą mogły się bawić zarówno dzieci hydraulika, sprzątaczkę, jak i sędziego.

Lecz życie w mieście nie sprowadza się do miejsca zamieszkania i jego najbliższych okolic. Na jakość życia składa się wiele czynników, a pogodzenie wielu, często różnych potrzeb to prawdziwe

wyzwanie. Interesuje mnie Twoja opinia na temat priorytetów. Co jest najważniejsze? Dla jakości życia w mieście duże znaczenie ma organizacja przestrzeni. Dlatego tak ważne jest, aby całość terenu aglomeracji miejskiej była objęta planami zagospodarowania przestrzennego. Pozwoli to na ochronę ciągów wietrznych i terenów zielonych oraz w ogóle zieleni miejskiej przed chaotyczną zabudową deweloperską. Promocja działań na rzecz czystego powietrza powinna polegać na zapewnieniu taniego, a w miarę możliwości bezpłatnego transportu publicznego, co pozwoli – zwłaszcza przy rosnących kosztach paliwa – na ograniczenie korzystania z prywatnych samochodów. Aglomeracja powinna być wyposażona w taką

sieć transportu, która uczyni samochód zupełnie zbędnym, dopóki jednak nie zostanie ona stworzona, nie zastąpią jej same ścieżki rowerowe – miasto musi być dostępne dla aut oraz mieć odpowiednią liczbę miejsc parkingowych. Wyrugowanie z centrów miast samochodów tylko wtedy będzie słuszne, kiedy skutecznie i efektywnie zastąpi je transport publiczny.

Miasto powinno być nie tylko dobrze zorganizowane, ale i przyjazne mieszkańcom... Jak najbardziej! A bardzo ważnym elementem miasta przyjaznego jest przecież dostęp do taniej i świeżej żywności. Zapewnić to mogą targowiska i hale targowe prowadzone przez miasto, które dzięki niskim opłatom targowym (tzw. placowemu) umożliwią sprzedaż warzyw, owoców i innych świeżych produktów spożywczych po atrakcyjnej cenie i w miarę możliwości z jak najmniejszą liczbą pośredników – najlepiej bezpośrednio przez producentów żywności, czyli rolników. Ważne jest też faworyzowanie w polityce czynszowej małych sklepów detalicznych jako alternatywy dla hipermarketów, centrów handlowych i sieciówek. Pozwala to na zakrzywienie strumienia pieniądza, który dzięki lokalnemu handlowi pozostaje w lokalnej społeczności.

Jeżeli porównamy miasto do żywego organizmu, to omówiliśmy już jego budowę, krwiobieg i odżywianie. W tej sytuacji pozostaje nam jeszcze problem wydalania, czyli odpadów.

Zgadzam się, to trafne porównanie! Miasto musi mieć sprawny



Il.: Piotr Ikonowicz – przewodniczący Ruchu Sprawiedliwości Społecznej, archiwum prywatne

Żadnego mieszkania bez lokatora i żadnego człowieka bez dachu nad głową

system segregacji odpadów, gdyż śmieci posegregowane można sprzedawać. Miasto może więc zarabiać na śmieciach i dzięki temu przestać pobierać opłaty od mieszkańców. Aby ograniczyć liczbę odpadów, należy wprowadzić jak najgęstszą sieć skupów surowców wtórnych, w tym automatycznego (jak zgniatar-ki), oraz opakowań szklanych na wymianę.

Najbardziej liczy się dobrostan mieszkańców?

Tak, a elementem dobrostanu mieszkańców miast – oprócz czystego powietrza, niskich czynszów, obecności parków i ogrodów – jest także możliwość uprawiania sportu w każdej grupie wiekowej. Dlatego wszelkie stadiony, sale gimnastyczne, baseny czy boiska sportowe powinny być

Deweloperzy chcący budować w mieście muszą przeznaczać część wybudowanych mieszkań na zasób komunalny

ogólnodostępne, a korzystanie z nich nieodpłatne. Taka inwestycja zwróci się z korzyścią ze względu na spadek liczby zachorowań i mniejsze koszty leczenia.

Od dawna wiadomo, że lepiej zapobiegać, niż leczyć. A propos – jak widzisz rozbudowę miasta w czasie kryzysu klimatycznego?

Tu jestem przekonany, że wszelkie budynki komunalne czy użyteczności publicznej powinny być neutralne energetycznie i korzystać z wszelkich dostępnych odnawialnych źródeł

energii, a deweloperzy chcący budować w mieście muszą przeznaczać część wybudowanych mieszkań na zasób komunalny. Zezwolenia na budowę, dzierżawa lub sprzedaż terenów pod zabudowę należy obwarować obowiązkami inwestora, takimi jak budowa koniecznej infrastruktury transportowej, technicznej i społecznej, czyli m.in. żłobków, przedszkoli i przychodni zdrowia. Zapobiegnie to powstawaniu osiedli-widm, na których nie ma nic poza mieszkaniami.

Czyli dobrze mieć dobrego sąsiada?

Jak najbardziej, a miasto powinno promować i wspierać wspólnoty sąsiedzkie obejmujące nie tylko kontakty towarzyskie i wspólne uprawianie sportu, lecz także wzajemne świadczenie

przez sąsiadów nieodpłatnych usług, na zasadzie że np. ja ostrzygę sąsiada, a jego syn zaprogramuje mi komputer. Polityka przestrzenna miasta musi koncentrować się na jakości życia ludzi, a nie na zysku. Podsumowując: miasto to nie firma i jego celem nie jest dochód, lecz jak najlepsze i najbardziej wszechstronne zaspokojenie potrzeb mieszkańców. ♦

Piotr Ikonowicz – lider Ruchu Sprawiedliwości Społecznej, Poseł na Sejm II i III kadencji (1993–2001), działacz społeczny.

Agnieszka Pietrzak

Kronika miast osieroconych. O Nie ma i nie będzie Magdaleny Okraski

Najpierw była fabryka-matka. Dawała pracę, czyli karmila. Wyznaczała rytm dnia. Przyciągała ludzi z okolic i z daleka, którzy szybko przestawali być obcy, bo fabryka tworzyła wspólnotę – nie było to trudne, skoro w każdej rodzinie był ktoś, kto tam pracował. Dawała poczucie sensu oraz, wcale nie rzadko, tożsamość i godność. Wokół fabryki wyrastały i rozrastały się osiedla, a wraz z nimi (inaczej niż dzisiaj) przedszkola, szkoły, przychodnie, kina, domy kultury, kluby sportowe, stołówki i bary. Wokół fabryki wyrastało i rozrastało się miasto.

Transformacja ustrojowa po roku 1989 zburzyła ustalony porządek, rozproszyła te mikrokosmosy. Fabryka została zlikwidowana... wróć, nie chcę tu strony biernej. Fabrykę zlikwidowali: sprzedali, rozkradli, zamknęli. Matka odeszła, zostały miasta-sieroty.

Kreślenie mapy – skreślanie z mapy

W Wałbrzychu węgiel wydobywano od 700 lat, *na Górnym Śląsku wtedy kozy pasali*¹. Decyzja o likwidacji wałbrzyjskich kopalń

¹ O ile nie zaznaczono inaczej, cytaty pochodzą z: M. Okraska, *Nie ma i nie będzie*, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2022.

zapała w 1990 r., ostatnia z nich pracowała do 1998. W Polsce tylko tutaj występuje antracyt, ale został skreślony z listy naszych zasobów geologicznych.

Tarnobrzeg miał Kopalnię i Zakłady Przetwórcze Siarki „Siarkopol”, w tej branży jedno z największych przedsiębiorstw na świecie, z największą w Europie odkrywkową kopalnią siarki. Wydobywania zaprzestano w 2011 r. Surowiec – tak jak i w Wałbrzychu – wciąż jest.

W Myszkowie kwitł przemysł włókienniczy, elektromaszynowy, metalurgiczny, papierniczy. Włókiennictwo odeszło w zapomnienie wraz z Zakładami Przemysłu Wełnianego „Wartex”, nie ma już też Światowita (tego od pralki Frani), a co zostało, *wszystko rozprzedali na części*.

W Skarżysku (bo Kamienna to zupełnie inna historia) było przede wszystkim Mesko, czyli zbrojeniówka (choć w czasach PRL produkowało również sprzęt AGD, rowery czy kalkulatory), ale też fabryka butów Fosko. Jak wszędzie poddano je morderczemu cyklowi restrukturyzacji i prywatyzacji; Fosko go nie przetrwało, Mesko – ledwo, właściwie jako cień dawnego, gigantycznego zakładu.

We Włocławku wciąż produkuje się keczup Włocławek, ostały się też Azoty, choć teraz nazywają się Anwil i rządzą nimi *młode wilczki z Płocka czy Warszawy*. Nie ma za to fabryki fajansu, Kombinatów Budowlanego czy Zakładów Celulozowo-Papierniczych. Miasto się skurczyło.

Ozorków stał przemysłem włókienniczym i odzieżowym, słynął z bawełny i żakardu. Dużą część produkowano na eksport: do Danii, Szwecji, RFN i Austrii. Największe ozorkowskie zakłady,

Morfeo i Latona, ogłosiły upadłość w 2000 r. Ostatnim pracownikom zamiast pensji wciśkano bele materiału. W 2018 r. przestał jeździć tramwaj nr 46, łączący miasto ze Zgierzem i z Łodzią.

W Będzinie czas dzieli się na ten przed zamknięciem kopalni i po nim. „Przed” całe życie toczyło się na miejscu, „po” się tutaj tylko śpi. W Lidzbarku Welskim razem z zakładami (a robiło się tam pustaki, buty i meble) podupadł klub sportowy, niegdyś kuźnia olimpijczyków. A w Szczytnie było kino, które potem zburzyli, a teraz jest nowe – co prawda w centrum handlowym, ale nie sieciówka. Kto wie, może uda mu się przetrwać.

Pościel w kwiaty i kotlet schabowy. Kilka słów o metodzie

Magdalena Okraska pytana o kryterium doboru miejscowości, jakie opisała w swojej książce *Nie ma i nie będzie*, odpowiada, że jeździła za likwidacjami. Interesują ją miasta, w których po 1989 r. zniszczono przemysł, a wraz z nim usługi towarzyszące, handel, szkoły zawodowe i placówki kulturalne; miasta, w których masy ludzi straciły pracę, często wykonywaną przez całe zawodowe życie, i nie zostało im zaofiarowane nic w zamian. Nie skupia się na historycznych procesach, reformach i decyzjach, które do tej sytuacji doprowadziły, choć



Nie ma i nie będzie

Magdalena Okraska

Nigdy nie interesowała mnie Polska schabem. Schabem interesuje się w swoich pierwiastkach, lenno go upiast. Zamierza się pod dyktando kilka niewygodnych szczegółów i wyschła, dła zgrabna historia nieprzetrwanego socjalizmu – kapł. przysł. zarobek, stworzył, udziela mu się. Schabem nie jest spowiadanie, której braku tuły i platformy. Jest modus vivendi, by o nim mówić. Porzeka ma wcale ojciec i matka – albo nie ma żadnych.

HA!ART

od początku jest jasne, jak je ocenia. Jedzie tam, gdzie nikt bez potrzeby nie jeździ, szuka śladów po zamkniętych zakładach, robi zdjęcia graffiti na ścianach bloków oraz samym blokom i pyta ludzi, jak im się żyje.

Wśród recenzji krytycznych wobec *Nie ma i nie będzie* przewijają się głosy, że książka została napisana pod tezę. Mogłoby się wydawać, że dyskusję o obiektywizmie w reportażu mamy za sobą co najmniej od momentu ukazania się *Kapuścińskiego non fiction*, ale nawet jeśli nie, dziwny to zarzut, skoro autorka nie robi ze swoich zamiarów i perspektywy żadnej tajemnicy, wyluszczaając je już na pierwszych stronach. *Nigdy nie interesowała mnie Polska sukcesu* – oznajmia we wstępie. W *Nie ma i nie będzie jadę do miejsc i ludzi, którzy, w oczach sytych z dużych miast, „ponieśli porażkę”*. *Jadę tam, by pokazać, że to tak naprawdę nie była ani porażka, ani wybór. Zdecydowano za nich, że miejsca, w których żyli, przestaną mieć czym oddychać*. Teza Magdaleny Okraski brzmi więc mniej więcej tak: przejście od gospodarki centralnie

W Będzinie czas dzieli się na ten przed zamknięciem kopalni i po nim. „Przed” całe życie toczyło się na miejscu, „po” się tutaj tylko śpi

sterowanej do „wolnego rynku” odbyło się po trupach fabryk i złamanych ludzkich życiorysach. Co więcej, jest to historia uniwersalna, doświadczenie powszechne, choć w dominującej narracji pomijane lub umniejszane. *Nie, to nie jest żadna szczególnie kraina geograficzna, żaden konkretny region, żadna Polska B czy C. To większość kraju*.

Okraska odsłania też przed nami reporterską kuchnię – opowiada, jak znajduje bohaterów, jak zaczyna rozmowę, w jaki sposób trafia do interesujących ją miejsc. *Chcę rozmawiać ze wszystkimi* – deklaruje. Dalej pisze: *Chcę zobaczyć wszystko, co zechcą mi pokazać, i więcej*. Ma sprecyzowane poglądy, ale nie czuje potrzeby jakiegokolwiek ingerencji w to, co mówią i myślą jej rozmówcy. Metoda „na Okraskę” to z jednej strony otwartość na ludzi, miejsca, wrażenia, na nieoczekiwane, a z drugiej – wtapianie się, uczestnictwo. Autorka nocuje u swoich bohaterów (m.in. w pościeli z ozorkowskiej bawełny), je to, co jej podadzą, spędza z nimi czas dokładnie w taki sposób, jaki jej proponują. Sama mieszka w takim mieście (w Zawierciu, któremu zresztą poświęciła lwią część swojej poprzedniej książki pt. *Ziemia jałowa*), w biogramie pisze o sobie „zwykła dziewczyna z prowincji” i w historiach, które słyszy, rozpoznaje swój los, nasz los. *Przestańmy pisać i mówić „ich”, „oni”, „ci ludzie”* – postuluje. *Nas, nami. My*. Gdy idzie

pieszko, wkurza się na piratów drogowych. Gdy jedzie autem, prędkość ją ekscytuje. Mogę się mylić, ale tam, gdzie inni wytykają brak konsekwencji czy wręcz tworzenie sobie wyimaginowanych wrogów, ja widzę identyfikację z grupą, poczucie przynależności. Kolejną wartość, którą utraciliśmy – odebrano nam – w kapitalizmie.

Ani turpizm, ani urbex, czyli sztuka chodzenia po mieście

W wywiadach i na spotkaniach autorskich Magdalena Okraska kładzie duży nacisk na swoje zobowiązania wobec bohaterów, na konieczność oddania im głosu: *I nie chodzi mi o nic więcej niż o to, żeby ludzie w miastach, do których pies z kulawą nogą nie zagląda, mogli te historie opowiedzieć*². Chciałabym zwrócić jednak uwa-

Jedzie tam, gdzie nikt bez potrzeby nie jeździ, szuka śladów po zamkniętych zakładach, robi zdjęcia graffiti na ścianach bloków oraz samym blokom i pyta ludzi, jak im się żyje

gę na fakt, że w *Nie ma i nie będzie* bohaterami co najmniej równorzędnymi wobec tych ludzkich są miasta. Ich nazwy otwierają kolejne rozdziały, ich topografia nadaje kierunek narracji – autorka w każdym z odwiedzanych miejsc odbywa rozmowy umówione i przypadkowe, ale przede wszystkim chodzi, często bez wyznaczonego celu, gdzie ją oczy poniosą: *Nie wiem, czego szukam, przez jedną trzecią czasu właściwie niczego. Chcę po prostu zobaczyć, dotknąć, zaciągnąć się zapachem tych konkretnych osiedli*. Chciałabym to podkreślić: Magdalena Okraska chodzi. Nie zwiedza, nie spaceruje. Chodzenie jest

² P. Siegień, Okraska: Jestem pieczęcią wspólnoty, i to wspólnoty w wydaniu polskim, <https://krytykapolityczna.pl/kultura/czytaj-dalej/paulina-siegien-magdalena-okraska-transformacja-przemysl-rozmowa> [dostęp: 9.08.2022].

czynnością o zupełnie innym charakterze niż zwiedzanie. Skraca dystans, wytrąca z pozycji niezaangażowanego obserwatora. I choć być może nie ma teraz figury bardziej skompromitowanej niż czuły narrator, to właśnie czułość wyczuwam w relacji autorki z miastami, o których pisze: *Przedemną niczego jednak nie trzeba chować, bo lubię słowiańską pstrokaciznę, zamęt, hałas i ten wałbrzyski palimpsest. Gdyby niektóre z budynków tu na osiedlu ociosać z reklam, tabliczek, dodatkowych okien o dziwnych kształtach i dorabianych psim śwędem bocznych wejść, zobaczylibyśmy może surową peerelowską bryłę z początków istnienia blokowiska. Ale nie można i nie trzeba*.

Okraska w pewnym sensie idzie śladem rozpadu i rozkładu. Szwenda się po blokowiskach i po gorszych dzielnicach, często przez samych mieszkańców nazywanych „slumsami”. Tropi nieczynne kina, przychodnie, domy towarowe. Przechodzi przez płot na zarośnięte boisko. Szuka tego, co pozostało po zlikwidowanych zakładach. W pewnej szczególnie zjadliwej recenzji zostają jej zarzucone „turpistyczne fascynacje”, w wywiadach padają pytania o urbex. To ślepe strzały, bo autorki nie interesuje powierzchnia, jakkolwiek patrzy na nią bez niechęci ani tym bardziej odrazy. Kluczem do twórczości Magdaleny Okraski jest wspólnota. To jej śladów wypatruje w swoich wędrówkach, to jej koniec dostrzega w ruinach fabryk i opuszczonych szybach. *Nie ma i nie będzie* oraz wcześniejsza *Ziemia jałowa* nie idealizują PRL-u, ale budują wizję świata, w którym gwarancja zatrudnienia w połączeniu z rozwiniętym przemysłem

zapewniały stabilność, poczucie bezpieczeństwa i sens – zarówno ludziom, jak i miastom. Cisza panująca na ulicach, niszczone zabudowania są dla niej widocznymi dowodami zdrady państwa wobec swoich obywateli. Ale są też przypomnieniem, że kiedyś było inaczej, a więc da się inaczej.

Obowiązkowa anegdota z pociągu (i co z tego wynikło)

Czy wszystko w *Nie ma i nie będzie* mi się podoba? Jasne, że nie. Drażnią mnie rozpoetyzowana (i niekiedy zupełnie przestrzelony) język oraz patetyczny ton, zwłaszcza że mowa o spr-

Nie ma i nie będzie oraz wcześniejsza *Ziemia jałowa* nie idealizują PRL-u, ale budują wizję świata, w którym gwarancja zatrudnienia w połączeniu z rozwiniętym przemysłem zapewniały stabilność, poczucie bezpieczeństwa i sens

wach tak bliskich ziemi. Struktura książki – podobnie jak w *Ziemi jałowej* – wydaje mi się chaotyczna czy wręcz przypadkowa. Listę ewentualnych zarzutów można łatwo poszerzyć, ponieważ reportaż Magdaleny Okraski spotkał się z ostrą, często bardzo nieprzyjemną, a czasem zwyczajnie niesprawiedliwą krytyką, za którą ewidentnie stało coś więcej niż tylko czytelnicze rozczarowanie. Przyznam zresztą, że sama początkowo planowałam napisać zupełnie inny tekst. Mój artykuł miał traktować o krytycznej recepcji *Nie ma i nie będzie*, o tym, że śmierć autora to bzdura, o literackim gatekeepingu³

³ Ograniczanie dostępu do danej społeczności lub prawa do identyfikacji z jakąś grupą, tożsamością itd. poprzez arbitralne, nieprzystające do rzeczywistości lub wyjątkowo trudne do spełnienia wymagania.

i pozaliterackiej mizoginii, ale też właśnie o języku i konstrukcji – gdzie „robią robotę”, a gdzie się rozkłada.

Ostatnie strony reportażu czytałam w pociągu, akurat gdzieś między Dąbrową Górniczą a Sosnowcem, mijając opustoszałe hale z powybijanymi szybami, kamienicę z zapadniętym dachem oraz inną, z której okien na drugim piętrze wyrastały cienkie pnie brzołek samosiejek. Pomyślałam, że w sumie jedna czy druga złośliwa recenzja aż tak mnie nie ciekawia, podobnie zresztą jak analiza zastosowanych przez autorkę środków stylistycznych. Z książ-

ką na kolanach, wyglądając przez okno, uznałam, że najbardziej interesujące są właśnie te hale i te kamienice, te zawsze mijane przejazdem miasta. Co się z nimi stało? I przede wszystkim: jak tam jest? Magdalena Okraska w *Nie ma i nie będzie* stawia dokładnie te same pytania i szuka na nie odpowiedzi. Nie z dystansu, a prosto z wnętrza, z chodników i ulic, z niewielkich mieszkań w wielkiej płycie i zza płotów postawionych wokół niszczących zakładów pracy. Miasta-sieroty – sieroty po przemyśle i po tysiącach mieszkańców, którzy wyjechali szukać szczęścia gdzie indziej – są dla niej ważne. Dlatego warto posłuchać, co ma do powiedzenia. I dlatego ja jej wierzę. ♦

Bartosz Klimas

Jak kraj długi – Hansenowie

Cztery 15-milionowe osiedla-nitki od morza do gór – tak widział przyszłą Polskę Oskar Hansen. Architekt, wizjoner i utopista od lat 60. XX w. rozwijał ideę miasta linearnego. Pomysł nie był nowy, bo – czego Hansen nie krył – koncepcję miasta rozciągniętego na linii można znaleźć już u XIX-wiecznych architektów europejskich i amerykańskich.

Oskar Hansen urodził się w Helsinkach w 1922 r. Jego matka była Rosjanką, a ojciec Norwegiem. Szkołę średnią ukończył w Wilnie (wtedy też otrzymał polskie obywatelstwo), po czym podjął studia na Politechnice Warszawskiej (rozpoczęte w 1945 r. jeszcze w Lublinie, gdzie po zakończeniu wojny chwilowo rezydował Wydział Architektury), a następnie wyjechał na stypendium do Paryża. W stolicy Francji studiował co prawda malarstwo, ale praktykował też architekturę, która miała stać się w jego życiu najważniejsza.

W realiach PRL-u Hansen się wyróżniał. Był członkiem międzynarodowej, nieformalnej grupy architektów Team 10¹, jeździł za granicę i uczestniczył w światowych konferencjach. Grzegorz Kowalski, który w latach 1968–72 pełnił rolę asystenta prof. Hansena na Wydziale Rzeźby ASP, uważa, że *Prawdopodobnie trochę mu zazdrośczone światowego*

życia. (...) Miał świetne kontakty: studiował u Légera², pracował u Pierre'a Jeannereta³ (kuzyna i współpracownika słynnego Le Corbusiera⁴ – przyp. BK), znał też Picassa i Moore'a. Komunikował się ze światem zachodnim jak równy z równym, bez kompleksów osoby zza żelaznej kurtyny.⁵

Hansenowie

Oskar Hansen projektuje pomniki i polskie pawilony na światowych wystawach (w takich realizacjach można popisać się pomysłowością), jest też współautorem niezrealizowanego projektu rozbudowy stołecznej Zachęty. Jednak to, z czego

Forma otwarta opisana przymiotnikami jest egalitarna, bezklasowa, niehierarchiczna, demokratyczna, zdecentralizowana i asymetryczna.

zostanie zapamiętany, to przede wszystkim domy mieszkalne. Ich projekty powstały przy udziale żony, Zofii – do tego stopnia, że jeśli idzie o budownictwo mieszkaniowe, należy mówić nie o Hansenie, lecz o Hansenach. Sam Oskar wielokrotnie miał

² Fernand Léger (1881–1955) – francuski malarz związany z kubizmem, grafik, rzeźbiarz, artysta ceramik i reżyser filmowy.
³ Pierre Jeanneret (1896–1967) – szwajcarski architekt i projektant mebli.
⁴ Właściwie Charles-Édouard Jeanneret-Gris (1887–1965) – francuski architekt szwajcarskiego pochodzenia, urbanista, czolowy przedstawiciel stylu modernistycznego. Propagował m.in. hasło „słońce, przestrzeń, zieleni” łączące elementy, które powinny mieć wpływ na współczesną architekturę.
⁵ Rozmowa z Moniką Stelmach, „Dwutygodnik”, wyd. 222, październik 2017, <https://www.dwutygodnik.com/artykul/7422-budzil-respekt.html> [dostęp: 12.07.2022].

poprawiać rozmówców, podkreślając wkład swojej partnerki.

Zofia Garlińska-Hansen również ukończyła studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Studiowała pod kierunkiem Romualda Gutta, propagatora modernizmu. Po 1950 r. – gdy Hansenowie się pobrali – miała znaczący udział w pracach nad teoriami i koncepcjami, które firmował Oskar.

Wydaje się też, że stąpała po ziemi mocniej. Kiedy mąż w rozmowie towarzyskiej zapędzał się w swojej technicznej nowomowie (bo, jak wynika ze słów jego współpracowników, używał specyficznego języka, do którego trzeba się było przyzwyczaić), Zofia strofowała: *Oskar, ty mów jak człowiek!*⁶

Na przełomie lat 50. i 60. Hansenowie projektują dwa budynki na Osiedlu Rakowiec należącym do Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, Osiedle Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej im. Juliusza Słowackiego oraz – znów w stolicy – Osiedle Przyczółek Grochowski dla Spółdzielni Młodych. Zatrzymamy się na chwilę na dwóch ostatnich, jako że stanowią one emanację teorii formy otwartej, którą Hansen stworzył i rozwijał.

Praktycznym efektem tej teorii miała być architektura gotowa do ciągłych przekształceń, w zależności od zmieniających się potrzeb użytkowników. Forma otwarta opisana przymiotnikami jest egalitarna, bezklasowa, niehierarchiczna, demokratyczna, zdecentralizowana i asymetryczna.

Założenia Osiedla Słowackiego przewidywały wyodrębnienie trzech stref, z których każda

⁶ F. Springer, *Zaczyn. O Zofii i Oskarze Hansenach*, Wydawnictwo Karakter 2013.

miała pełnić własne funkcje. Głównym elementem systemu była wolna od samochodów strefa budynków mieszkalnych (tzw. strefa obsługiwana) umieszczona pomiędzy dwiema strefami obsługującymi: północną, gdzie znalazło się zaplecze gospodarcze (w tym parkingi i garaże), oraz południową, przeznaczoną do wypoczynku i zaspokajania potrzeb kulturalnych. Mamy tu zatem propozycję układu pasmowego, nie centrycznego. Zgodnie z teorią formy otwartej architekti starali się zachęcić lokatorów do samodzielnego projektowania w swoich mieszkaniach układu ścian wewnętrznych.

Przyczółek Grochowski to z kolei 23 bloki połączone w jeden za pomocą zewnętrznych galerii. Po kilku latach

budowy powstało coś na kształt półtorakilometrowej litery M wijącej się wokół trzech półtowartych podwórek. W założeniu wejście byłoby możliwe poprzez dowolną klatką schodową, po czym jechałoby się na swoje piętro (inwestor miał tylko kilka wind) i galeriami przechodziło do swojego mieszkania.

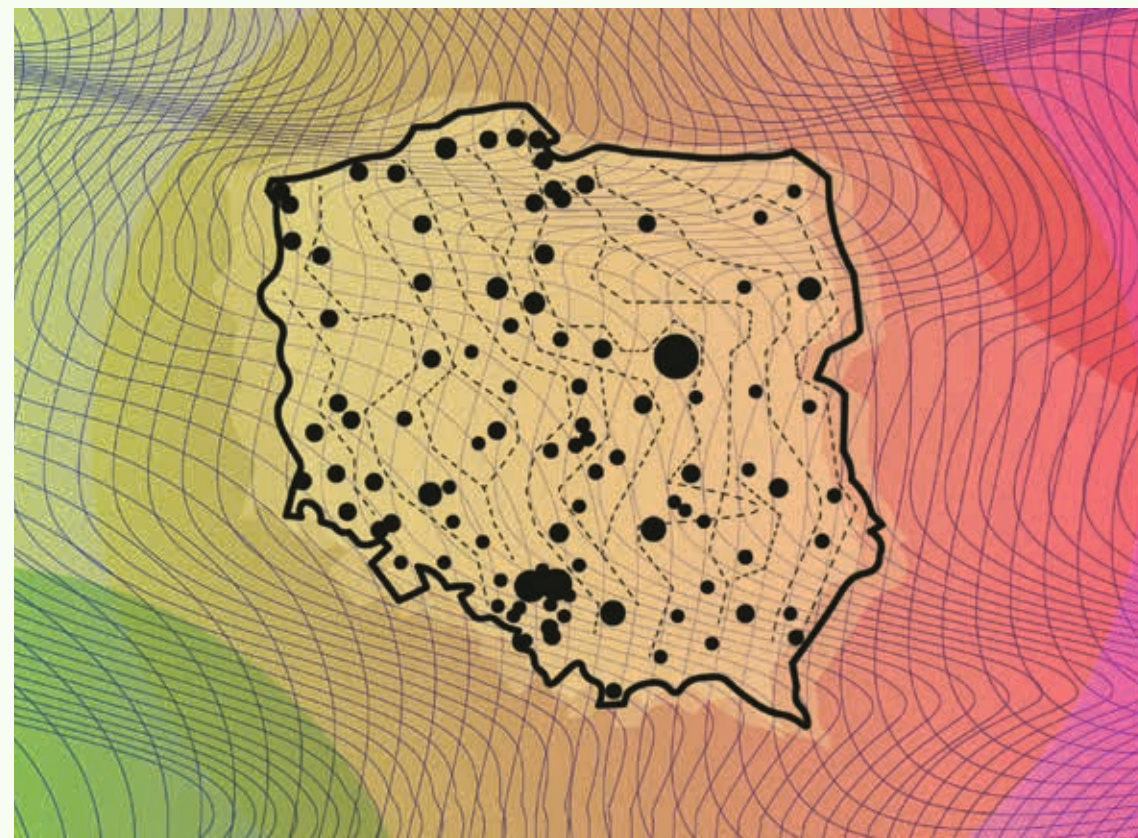
Opinie mieszkańców nie były, mówiąc ogólnie, pochlebne. Jak w 1974 r. powiedział dziennikarzowi „Expressu Wieczornego” jeden z mieszkańców, przydziału na Przyczółku nie oblewa się, lecz zapija. W pewnym stopniu było tak zapewne dlatego, że budowlancy ominęli część założeń projektu, by ułatwić sobie robotę. Przekonali urzędników,

⁷ Dziennik popołudniowy wydawany w Warszawie w latach 1946–1999.

że nie da się zrealizować założeń Hansenów, np. wspomniane galerie poprowadzono tuż pod oknami, a nie zawieszono ich, jak chcieli architekci, w pewnej odległości od ściany bloku, co zapewniłoby zarówno prywatność, jak i, co ważniejsze, bezpieczeństwo mieszkań⁸. Podobnie zresztą było w Lublinie: *Dlaczego zarząd LSM pozwolił na budowę takiego ohydneho osiedla pod względem architektonicznym i szczytowego brakoróbstwa? Osiedle [Słowackiego] szpeci tylko istniejące osiedle Mickiewicza i jest pośmiewiskiem całego Lublina* – pisał w 1971 r. w liście do swojej spółdzielni jeden z lokatorów⁹.

⁸ F. Springer, dz. cyt.

⁹ „Współczesność”, 9/1971; czasopismo artystyczno-literackie wydawane w Warszawie w latach 1956–1971, związane z pokoleniem artystów debiutujących około 1956 r. i dominujących w życiu literackim przez następną dekadę.



Il.: Alicja Beryt, interpretacja Linearnego Systemu Ciągłego

Miasto-pasmo

To był zaczyn (termin nieprzy-padkowy), który miał doprowadzić do finału w postaci ogólnokrajowej rewolucji – Linearnego Systemu Ciągłego (LSC).

Ogłoszona przez Hansena w 1966 r. koncepcja zakładała podział Polski na cztery megamiasta w formie pasm urbanistycznych – Wschodnie, Mazowieckie, Zachodnie I i Zachodnie II – przebiegające wzdłuż największych rzek, odległe od siebie o 100–150 km.

W sąsiedztwie osiedli miały się znaleźć tereny przyrodnicze i rolnicze, zaś w dalszej odległości uciążliwe zakłady przemysłowe i biura. Dzięki temu z domowego okna byłaby widoczna zieleń (inaczej niż np. na Przyczółku Grochowskim, gdzie niektóre z mieszkań są dosyć ciemne). Komunikację na osi północ-południe miały rozwiązywać szybka kolej i drogi, zaś dla zapewnienia połączeń poprzecznych, w tym dojazdów do pracy, architekt przewidział rodzaj superszybkiej komunikacji publicznej (zakładał, że ewentualne przesiadki odbywałyby się w trakcie jazdy). Dojazd do fabryki nie powinien trwać dłużej niż 30 minut.

Istniejące już miasta miały zostać włączone w system linearny i też na tym skorzystać – poprzez zmniejszenie liczby mieszkańców stałyby się zdawniejsze do życia. Hansen przygotował kilka szczegółowych modeli wdrożenia LSC dla Warszawy (okolice dzisiejszego Ursynowa), Poznania, Przemysła czy Lubina, jednak nawet pobieżny ogląd prowadzi do wniosku, że ich realizacja w praktyce nie byłaby możliwa.

Wśród mniej kontrowersyjnych rozwiązań znalazło się to stworzone dla południowych peryferii Warszawy. Hansen wymyślił 16-piętrowy blok ciągnący się wzdłuż Wisły, przecinający się raz po raz z dwupiętrowym ciągiem obiektów edukacyjnych i trzypiętrowym pasmem handlowo-usługowym. Do centrum „starej” Warszawy jechałoby się metrem (co się akurat ziściło).

Uświadomiłem sobie, że ta pociągająca utopia może być zrealizowana tylko w systemie nakazowo-rozdzielczym. Kładąc na szali jej wszystkie zalety funkcjonalne, ekologiczne, ekonomiczne, na drugiej szali pojawiało się widmo totalitaryzmu – mówi Grzegorz Kowalski, dodając, że niespodzianką, którą zapamiętał, była wizyta wojskowych w pracowni Hansena: Sami się do niego zgłosili, żeby sprawdzić, jak by działał Linear System Ciągły na wypadek wojny nuklearnej. Uznali, że w razie wybuchu atomowego straty mogą być mniejsze niż w przypadku miast centrycznych.¹⁰

Pragmatyzm utopii

Dochodzimy tu do paradoksu – pomysł na zdecentralizowane miasto miał szanse na realizację jedynie w centralnie zarządzanym państwie.

Musimy uświadomić sobie, jak wygląda nowa baza społeczna, na której wyrastać będzie nowa forma otoczenia człowieka. Przede wszystkim teren jest własnością społeczną. Pieniądze są scalone, a ich dysponentem jest państwo – mówił Oskar Hansen podczas debaty w redakcji „Projektu”¹¹.

¹⁰ Rozmowa z Moniką Stelmach, dz. cyt.

¹¹ „Projekt”, 2/1968; czasopismo zajmujące się sztuką wizualną i projektowaniem wydawane w Sopocie w latach 1956–1997.

Filip Springer, przytaczając tę wypowiedź w biografii Hansenów pt. *Zaczyn. O Zofii i Oskarze Hansenach*, przypomina o trudnościach, na jakie na przełomie XIX i XX w. natknął się hiszpański urbanista i architekt Arturo Soria y Mata w swoich pracach nad linearną rozbudową Madrytu. Ze względu na trudności z wykupem ziemi pod rozbudowę sprawa utknęła w miejscu.

Problemów z właścicielami nie byłoby natomiast w centralistycznej gospodarce. Wydaje się, że z początku Hansen mocno wierzył w możliwość realizacji swojego pomysłu. *W warunkach polskich realizacja LSC jest już dziś możliwa i to na szeroką skalę. (...) Dziś nie ma argumentów za koniecznością kontynuowania starego typu zabudowy – mówił w 1969 r. dziennikarce „Wiedzy i życia”¹². Ale już w 1976 r. podczas prezentacji makiety dla Lubina – z domami zaplanowanymi na specjalnie wznoszonych tarasach, niczym na trybunach gigantycznego stadionu – przyznał, że jest to jedynie, używając raz jeszcze tytułu książki Filipa Springera, zaczyn. Podobnie powie rok później w rozmowie z młodym architektem Czesławem Bieleckim: *Model LSC nie zostanie zrealizowany za mojego życia, dlatego trzeba być l'enfant terrible, robić tak zwane utopijne projekty, żeby już dzisiaj budziły i budowały świadomość społeczną, po to, żeby jutro były rzeczywistością. Naszym sukcesem jest to, że ludzie dziś o LSC piszą, że o tym rozmawiamy, że jest się o co spierać. Na tym polega pragmatyzm utopii.¹³ ♦**

¹² Rozmowa z Bogumiłą Styblińską, „Wiedza i życie”, 11/1969; miesięcznik popularnonaukowy wydawany w Warszawie od 1926 r.

¹³ Rozmowa z Czesławem Bieleckim, „Architektura”, 3–4/1977.

Dariusz Zalega

Miasto od peryferii. Zdecentralizujmy miejską historię

Gdy myślimy o mieście, zazwyczaj od razu przychodzi nam do głowy widok jego centrum, rynku, ratusza. A gdyby zacząć od obrzeży, dzielnic, bez których to miasto by nie istniało?

W Katowicach nie ma bezrobocia. W Katowicach nie widać nędzy. Nie widać górników. Katowice mogą okazywać światu czyste ręce i schludne oblicze cnoty. (...) Wokół Katowic nieprzerwany ciąg miast i osad, skupiający na małej przestrzeni potężne procesy kapitalistycznej produkcji z mizernymi aktami robotniczego spożycia. Całe miasto żerujące jak polip na ogromie pracy, omotujące mackami szynków i sklepów, kin i cukierni wyplatę sobotnią¹. To dość ponury obraz z lat 30. ubiegłego wieku, tyle że zawierający sporo prawdy. W czasie rewolucji przemysłowej o randze miasta zaczęły bowiem decydować jego obrzeża, gdzie dymiły kominy fabryk i mieszkali ich pracownicy.

Inne historie

Na przestrzeni wieków rola miast się zmieniała. Były siedzibą władcy, centrum handlu, a często nie różniły się od bogatszych wsi. Burze dziejowe XVII w. zniszczyły w znacznym stopniu sieć zasobnych śląskich miast. Gwałtowne zmiany w gospodar-

¹ Z-ORM, *Z Górnego Śląska : Z Czarnego Kraju. Górny Śląsk w reportażu międzywojennym*, Katowice 1981, s. 52.

ce regionu nastąpiły po aneksji Śląska przez Prusy w wyniku 3 wojen śląskich (1740–1763). W tym czasie Śląsk był biedną i kresową prowincją. *Miast było niewiele i były one małe*, jak pisał Norman J.G. Pounds². Odgórna industrializacja Prus wiązała się z aktywizacją produkcji manufaktur na wewnętrzny rynek, bezpośrednimi inwestycjami państwowymi oraz ograniczaniem importu, wpisując się w ramy dokonującego się w całej Europie przewrotu przemysłowego. I ten zwrot oznaczał zmianę funkcji miasta. Jak podkreśla Rafał Matyja, autor znakomitej książki *Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością* Rafał Matyja: *Największą zmianę w funkcjonowaniu dziewiętnastowiecznego miasta wprowadza przemysł. Zwłaszcza tam, gdzie staje się dominującym elementem gospodarki³.*

Oczywiście to wszystko rodzi się z chaosu, przypominającego przedświecie piekła. Obserwator tych przemian Julian Marchlewski pisał: *W porównaniu z innymi siedliskami przemysłu, zwłaszcza Zachodu, dwie cechy charakteryzują Górny Śląsk: ogromne skoncentrowanie przedsiębiorstw pod względem posiadania i skoncentrowanie na maleńkiej przestrzeni. Wprawdzie i na Zachodzie przemysł węglowy i hutniczy są w znacznym stopniu skoncentrowane, są to przedsiębiorstwa olbrzymie, a i skupienie pod względem przestrzeni bywa tu znaczne. Jednakże nigdzie nie powstała tam tak potężna magnateria przemysłowa i nigdzie nie ma takiego jaskrawego przeciwieństwa miejscowości na*

² N. Pounds, *The Upper Silesian industrial region*, Bloomington 1958, s. 1–2.

³ R. Matyja, *Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością*, Kraków 2021, s. 120.

wskroś przemysłowych z bezpośrednio sąsiadującymi obszarami czysto rolniczymi. Toż ten Górny Śląsk nie ma ani jednego miasta wielkiego, ani jednego siedliska kultury, jakimi na Zachodzie są np. Dortmund, Duesseldorf, Kolonia, Liege, Birmingham, Manchester. Tu, na Śląsku przemysł opanował kraj rolniczy, z amerykańską szybkością powstały osady fabryczne, miasta, w których niepodzielnie, jak nigdzie, panuje business, nory prawdziwe, brudne i zaniedbane pod względem higienicznym i kulturalnym. I tuż, gdzie giną z oka kominy fabryczne, poczynają się rozłogi wielkich magnackich posiadłości⁴.

Centrum broni się przed dzielnicami

Robotnicy w tym świecie pracowali obok siebie, ale też żyli razem. Nie zasiedlali drogich centrów miast – do których właściwie ograniczały się górnośląskie ośrodki miejskie – lecz zamieszkiwali w osadach przemysłowych powstających obok nowych zakładów lub wyrosłych na bazie dawnych wiosek. Te pozbawione praw miejskich osady niejednokrotnie górowały liczebnie nad okolicznymi miastami. W okręgu przemysłowym w połowie XIX w. było ich 9, a w 1885 r. już więcej niż miast – 56 wobec 55. Rozwój sieci tramwajowej w konurbacji górnośląskiej wpływał przy tym na mobilność mieszkańców, oszczędzając czas przeznaczony przez nich na dotarcie do pracy, ale też zacieśniając więzi między tymi ośrodkami⁵. Historyczka Maria Wanatowicz zwróciła uwagę, że *w dużych skupiskach łatwiej*

⁴ J. Marchlewski, *Stosunki społeczno-ekonomiczne...*, s. 373.

⁵ K. Gwosdz, *Ewolucja rangi miejscowości w konurbacji przemysłowej. Przypadek Górnego Śląska*, Kraków 2004, s. 69.

rodziła się solidarność robotnicza, (...) wcześniej kształtował się wspólny model zachowań społecznych, obyczajów, kultury duchowej i materialnej, świadomość wspólną

Moda na lokalne spacer organizowane przez miejscowych pasjonatów też pozwala wyjść poza centrum

pozycji społecznej, wspólnych interesów, własnej siły⁶. O tym, jak to właśnie przemysł zdecydował o rozwoju miast, niech świadczą losy małego i urokliwego Strumienia, omińniętego przez falę industrializacji, czy Czechowic-Dziedzic, zawdzięczających mu swoje istnienie.

Ludzi z centrów miast ogarnął jednak lęk, aby mieszkańcy tych osiedli, osad, którzy zapewniali im zysk, nie weszli w buciorach na modne promenady. To

dlatego tak uparcie niemieckie i niemiecko-żydowskie elity Bielska przeciwstawiły się pomysłom socjalistycznego posła Zygmunta Glücksmanna, wal-

czącego o przyłączenie do miasta okolicznych obszarów wiejskich, aby pozyskać tanie tereny pod budowę domów dla robotników. Tej kwestii poświęcił wydaną w 1930 r. broszurę *Wohnungsproblem in Polen (Problem mieszkaniowy w Polsce)*.

Mieszkańcy robotniczych osad uzyskali wpływ na politykę jeszcze przed I wojną światową za pośrednictwem socjaldemokracji. Z jednej strony oddolna presja, a z drugiej modne idee „uzdrowienia” miasta (niezbędne do utrzymania w zdrowiu robotni-

ków i potencjalnych żołnierzy) prowadziły do jego ucywilizowania. *Niedostrzegalnym wielkim krokiem tworzącym społeczeństwo jest doprowadzenie do tysięcy domów mieszkalnych wody, gazu, elektryczności, włączenie ich do sieci kanalizacyjnej, wreszcie – zainstalowanie w nich telefonu⁷* – zauważa Matyja.

Ludowa historia miast

Żartobliwie można stwierdzić, że jak w przedstawianej historii Polski dominuje historia elit, tak w dziejach miast skupiamy się na rynku i ratuszu. Jest w tym oczywiście część prawdy – wszak to centra decyzyjne. Tyle że ludowe osady, peryferia też miały swoją historię i często wdzierały się na ten rynek. Zdarzało się, że dawne osady wcielone do sąsiedniego miasta miały nawet bogatsze dzieje (przykład Lipin i Świętochłowic).

Obecnie zainteresowanie turystyką przemysłową, ochroną zabytków przemysłu sprzyja zachowaniu pamięci o tej dawnej funkcji miasta. Często jednak znikają przy tym z pola widzenia ówcześni ludzie, którzy pracowali przy rekonstruowanych maszynach (co niejednokrotnie było widać podczas Industriad). I to zaczyna się jednak zmieniać, o czym świadczy Muzeum Hutnictwa w Chorzowie, gromadzące także historie dawnych hutników.

Zainteresowanie losami dzisiejszych miejskich „peryferii” wzrasta również dzięki popularności mikrohistorii. Na Górnym Śląsku powstaje sporo książek poświęconych losom dawnych osad, dzisiejszych dzielnic. Problem w tym, że często koncentrują się na historii parafii, co dobitnie pokazuje, jak wciąż zbyt często poruszamy się w ramach ustalonych narodowo-kościelnych schematów. Moda na lokalne spacer organizowane przez miejscowych pasjonatów też pozwala wyjść poza centrum. Hobbystyczne strony internetowe niestety coraz częściej ograniczają się do historii „pocztówkowej”, niemniej pozwalają wczuć się w klimat okresu.

Gdzie więc konkretnie możemy szukać informacji o zapomnianych kartach historii naszych miast? Nawet oficjalne ich dzieje wydane w książkowej postaci mogą takich danych dostarczyć – choćby w kilku zdaniach, które łatwo pominąć przy lekturze, między jedną bitwą a drugim proboszczem. Wtedy warto iść za przypisem. Podrzążyć temat, bo wskazówką może być kolejna książka lub archiwum. I nie zrażać się, że pozycja pochodzi np. z czasów PRL, bo

W czasie rewolucji przemysłowej o randze miasta zaczęły bowiem decydować jego obrzeża, gdzie dymity kominy fabryk i mieszkali ich pracownicy

⁶ M. Wanatowicz (red.), *Górny Śląsk, Śląsk Cieszyński i okragi ostrawski w okresie industrializacji*, Katowice 1990, s. 75.

⁷ R. Matyja, *Miejski grunt...*, s. 129.



Il.: Anna z Płabawy

po pozbyciu się otoczki ideologicznej nowomowy (w sumie podobnej do tej narodowo-religijnej) możemy natrafić na perełki lokalnej historii. Ale książki z minionej epoki są też o tyle ważne, że wtedy zajmowano się także historią gospodarczą i społeczną, która jakoś nie może się obecnie przebić w obliczu historii *stricte* politycznej.

Dla tych z większym samozaparciem są archiwa. Z własnego doświadczenia wiem, ile czai się w nich pięknych lokalnych historii, które nie pasowały do oficjalnej linii ani kiedyś, ani obecnie. Przy czym dostęp do archiwów państwowych z ich lokalnymi oddziałami jest dość prosty. Pytanie brzmi: czego szukać? W archiwach wojewódzkich zazwyczaj znajdziemy przeciekawe wspomnienia, w ich oddziałach zachęcam do zaczynania od archiwów policyjnych, bo nie zanudzą, a poza tym obejmują sporą część życia społecznego, już łamiąc wcześniejsze ugrzecznione wizje.

No i w końcu żywa opowieść. Historie opowiadane na rodzinnych spotkaniach czy nawet snute przez kompana przygodnie spotkanego w lokalnym szynku.

Poznając historię swojego miasta, warto więc wyjść poza oficjalne koleiny myślenia – uznać jego wielokulturowość, wprowadzić do tych dziejów w należnym stopniu warstwy ludowe i po prostu zdecentralizować opowieść o mieście. A to wszystko jest możliwe dzięki książkom, archiwom i świadkom historii. Przy jednym zastrzeżeniu: konieczne jest przyjmowanie postawy krytycznej, wątpliwej, nawet mimo sympatii do źródła. Żeby nie powiełać „jedynie słusznym opowieści”. ♦

Filip Górski

Nie tylko betonoza. Miasta w dobie zmian klimatu

W Polsce występuje problem z zabetonowanymi przestrzeniami publicznymi. W obliczu coraz częstszych fal upałów jest to trend co najmniej niepokojący. Potrzeba cienia i chłodu na głównym placu miejskim oczywiście jest ważna, lecz w szumie medialnym wokół tego tematu umyka nam wiele innych, poważniejszych problemów klimatycznych. Pojęcie „betonozy” stało się chwytliwym hasłem otwierającym, ale też zamykającym sporo rozważań o mieście XXI w. Tymczasem rzeczywistość domaga się bardziej złożonych diagnoz oraz rozwiązań.

Konsensus naukowy w sprawie zmian klimatu jest jasny – ponad 99% naukowców uważa, że globalne ocieplenie ma miejsce i jest spowodowane działalnością człowieka. Niezmiennie rośnie również liczba ludzi, a świat się urbanizuje – do 2030 r. 60% z nas będzie mieszkać w miastach. Duża koncentracja ludności przynosi korzyści ekonomiczne i społeczne (m.in. możliwości produkcji, wymiany handlowej czy uczestnictwa w kulturze), ale generuje też koszty (np. przestępczość, epidemie, zanieczyszczenie czy konieczność nieustannego ujarzmiania przyrody). Zagęszczenie w miastach wraz ze zlokalizowaniem w nich przemysłu oraz konieczność zapew-

nienia na te potrzeby energii sprawiają, że większe ośrodki stają się niechlubnymi rekordzistami na mapach emisji gazów cieplarnianych, w dużej mierze przyczyniając się do globalnego ocieplenia. Zajmując jedynie 3% powierzchni Ziemi, obszary zurbanizowane odpowiadają za 60–70% zużycia energii i 75% emisji związków węgla.

Koncentracja na stosunkowo małym terytorium dużej liczby mieszkańców, zlokalizowanie intensywnej zabudowy niezbędnej do jej zakwaterowania oraz opłacającej ją infrastruktury potrzebnej do ich obsłużenia sprawiają, że miasta są też niezwykle wrażliwe na skutki zmian klimatu, takie jak ekstremalne zjawiska pogodowe. Wysokie temperatury, ulewne deszcze, gwałtowne burze lub silny wiatr mogą powodować duże straty materialne i generować zagrożenia dla zdrowia i życia ludzi oraz stabilności społeczno-gospodarczej. Ich przebieg może być dodatkowo zaostrzony przez niektóre cechy miasta, takie jak (nie)obecność i charakter terenów zielonych oraz cieków wodnych, stopień uszczelnienia (zabetonowania) nawierzchni czy ukształtowanie terenu.

Moda na beton

W ostatnich kilku latach dyskusja o środowiskowych aspektach funkcjonowania miast została zdominowana przez hasła walki z „betonozą”. Wyraz ten zdaje się oznaczać nadmierne stosowanie betonu w przestrzeni publicznej, zaś jego końcówka „-oza” sugeruje „chorobowy” charakter tego trendu. Termin ten został spopularyzowany przez Jana Mencwela z warszaw-

skiego stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, który pod hasztagiem #betonoza rozpoczął cykl tweetów ze zdjęciami polskich rynków przed i po remontach, a następnie wydał książkę o takim tytule. Transformacje wspomnianych placów – kończą się bardzo często wycięciem drzew i krzewów rosnących tam od dziesięcioleci, nierzadko za

Zajmując jedynie 3% powierzchni Ziemi, obszary zurbanizowane odpowiadają za 60–70% zużycia energii i 75% emisji związków węgla

unijne pieniądze – są powszechnie krytykowane. Słynny stał się m.in. rynek w Leżajsku, gdzie za ponad 10 mln zł duże, dające cień w upalne dni drzewa zastąpiono szczelnie ułożonymi betonowymi płytami. Z kolei w Kutnie na Placu Wolności wybudowano naziemny budynek parkingu, a główną płytę placu zlokalizowano... na jego dachu, nie oferując użytkownikom żadnego cienia ani sensownych

mebli miejskich (np. ławek). Inwestycja została zrealizowana według koncepcji wyłonionej przez jury, w którym zasiadali przedstawiciele Izby Architektów RP. Na ekspertów spadły gromy za przyłożenie ręki do inwestycji ignorującej wyzwania klimatyczne.

Dlaczego tendencja do betonowania, uszczelniania

przestrzeni publicznych i pozabawiania ich drzew jest tak szkodliwa? Odsłonięte na działanie promieni słonecznych otwarte przestrzenie (nie tylko place, ale też dachy) bardzo szybko się nagrzewają, a jeśli dodatkowo wykonane są z konwencjonalnych, nieprzepuszczalnych, ciemnych materiałów – nagrzewają się jeszcze szybciej. Oznacza to, że temperatura na terenach zielonych, a w szcze-

gólności w cieniu koron drzew, może być o kilka lub kilkanaście stopni Celsjusza niższa niż na środku odsłoniętego chodnika, placu lub drogi, które w czasie upałów mogą się nagrzać nawet do ponad 50 stopni. Przebywanie w takich miejscach jest wtedy nie do zniesienia, więc trudno się spodziewać, by latem place miejskie po takich remontach, jak opisane wyżej, tętniły życiem (a chyba na tym powinno zależeć samorządom).

Skąd bierze się chęć inwestorów (przedstawicieli miasta, urzędników) do takich niefortunnych modernizacji? Tego również w swojej książce próbuje dociec Jan Mencwel. Bardzo często podnoszonym argumentem jest historia i akcentowanie konieczności przywrócenia kształtu placu z poprzednich stuleci – rzekomo większość rynków przed XX w., pełniąc funkcje przede wszystkim targowe, nie była zadrzewiona. Poza tym przestrzenie bez drzew łatwiej się sprząta, bo przecież nigdy nie spadną tam liście. Odchodzi również koszt pielęgnacji drzew,



Il. „Zmodernizowany” plac Wolności w Kutnie. Na placu zbudowano naziemny, kryty parking. Pieszym udostępniono dach budynku. Fot. F. Górski (2021)

które z czasem mogą się stać chore. Brak drzew to również brak ich złamań przy wichurach, a więc szanse, że przechodzień ucierpi w wyniku upadku konaru, również są mniejsze. Inwestycje te można wytłumaczyć też psychologicznie. Przestrzeń bezdrzewna i uszczelniona do granic możliwości może być postrzegana jako bezpieczna, przewidywalna, antropogeniczne środowisko, w którym żadna nieznaną siłą nie jest nam w stanie zagrozić.

Tymczasem ludzie potrzebują zieleni – nie tylko jako cienia i ochłody w upał, ale też dla zdrowia psychicznego i fizycznego. Osoby mieszkające w jej pobliżu rzadziej zapadają m.in. na astmę. Poza tym tereny zielone w mieście, jeżeli są odpowiednio dostępne, mogą się stać siedliskiem lub korytarzem migracji dla zwierząt. Argumenty te są racjonalne i trafiają do wielu osób, w szczególności do tych, które pamiętają zielone place i rynki sprzed modernizacji. Nic więc dziwnego, że skala oburzenia betonożą była i jest duża. Temat przebiega się w mediach lokalnych i ogólnopolskich oraz w mediach społecznościowych, a pojęcie z tytułu książki Mencwela wchodzi również do języka politycznego.

Granice „betonoży”

Nie da się dokładnie określić, gdzie zaczyna się owa betonoża, kiedy się kończy i jak ją zmierzyć. Czy w przypadku każdego krytykowanego remontu rynku powinniśmy policzyć procentowy ubytek powierzchni biologicznie czynnej (trawników, rabat, zadrzewień)? A może zanim krzyknemy „betono-

ża!” powinniśmy sprawdzić przepuszczalność materiału, którego użyto do utwardzenia powierzchni placu po remoncie? Niekoniecznie. Nie sposób jednak nie zauważyć, że bardzo często „betonoża” funkcjonuje jako słowo-obuch. Stała się ono wygodną, bezwzględną diagnozą, która zamyka dyskusję – orzeka o winie i złych intencjach inwestora (lokalnego samorządu), projektanta i wykonawcy. Dochodzi przy tym do absurdów: jako „betonoża” potocznie określane są np. nowe inwestycje drogowe,

Rewitalizacja jest procesem bardzo szerokim i niezwykle potrzebnym, aby wyciągnąć ze stanu kryzysowego zdegradowane części miast i ich mieszkańców.

wiadukty lub kładki. Owszem, w dzisiejszym świecie potrzebujemy dyskusji o alternatywach dla betonu w budownictwie. W perspektywie zmian klimatu i wyczerpujących się zasobów musimy sobie odpowiedzieć także na pytanie, czy potrzebny jest gargantuiczny rozrost infrastruktury. W sytuacji polskiego zapóźnienia rozwojowego musimy jednak brać poprawkę na bezwzględnie zielone dogmaty. Miasta, jeśli mają pozostać miastami, bez infrastruktury się nie obędą. Życie na terenach gęsto zaludnionych zawsze będzie wiązać się z przynajmniej delikatną inwazyjnością w stosunku do lokalnego środowiska.

Tymczasem za bycie zbyt betonowymi obrywają nawet takie miejsca, jak niedawno oddany Plac Pięciu Rogów w Warszawie. Słowem „betonoża” podsumowano ostatnie zmiany

na placu w niektórych artykułach prasowych oraz komunikatach lokalnych działaczy. Choć w przypadku tej inwestycji dyskusyjny może wydawać się dobór drzew oraz ilość zieleni (szczególnie niskiej), należy zauważyć, że jej wprowadzenie w przestrzeń placu jest dużym postępem w stosunku do stanu poprzedniego, w którym zieleni na skrzyżowaniu ulic Brackiej, Szpitalnej i Chmielnej nie występowała wcale. Narzekając na zbyt małą skalę i niską jakość zmian oraz brak spektakularnych

efektów w tego typu projektach, warto uwzględnić proces uczenia się, jaki przechodzą samorządy lokalne – przykładowo jeszcze kilka lat temu dzisiejszy kształt Placu Pięciu Rogów (ograniczenie ruchu samochodowego, wprowadzenie wyższych drzew) nie mieściłby się w kanonie, gdyż uchodziłby za zbyt radykalny. Cieszymy się zatem powolnymi zmianami i miejmy nadzieję na więcej. Zanim uderzy się obuchem w daną inwestycję, warto mieć na uwadze lokalny oraz krajowy kontekst.

Odczepcie się od rewitalizacji

Do zarzutu o betonożę łatwo podpinane są kolejne populistyczne slogany. Komentujący mówią więc przy okazji o „patodeweloperce”, gdyż betonowanie rzekomo leży w interesie deweloperów, którzy chcą

maksymalizować zyski z betonowej – nomen omen – zabudowy, a przy blokach wytyczać miejsce pod betonowe lub asfaltowe parkingi. Swoją drogą, historia pojęcia „patodeweloperki” i niezbyt oczywistych korzyści płynących z jego obecności w dyskusie (związanych m.in. z dyskusyjną rolą dewelopera w kapitalistycznej gospodarce) to temat na osobny artykuł. Niefortunnym pojęciem jest jednak więcej.

Pojęcie „betonoży” w doniesieniach medialnych lub przekazach aktywistycznych często bywa stosowane wymiennie ze sformułowaniami typu „nieudana rewitalizacja” lub „rewitalizacja rynków”. Utrwala to błędne, szkodliwe postrzeganie rewitalizacji jako procesu opartego tylko na inwestycjach w twardą infrastrukturę, z pominięciem sceny społecznej. A przecież rewitalizacja jest procesem bardzo szerokim i niezwykle potrzebnym, aby wyciągnąć ze stanu kryzysowego zdegradowane części miast i ich mieszkańców. Rewitalizacja to również (a może przede wszystkim) żmudna praca z lokalną społecznością. Nawet jeśli remonty budynków i przestrzeni publicznych są wyjątkowo efektywne, to o sukcesie rewitalizacji nie decyduje wygląd placu miasta, lecz przezwyciężenie kryzysu społecznego we współpracy z organizacjami pozarządowymi, biznesem czy instytucjami edukacyjnymi i kulturalnymi. Tak, trzeba przyznać: zdarza się, że nawet skutecznym procesom rewitalizacji towarzyszą pojedyncze nieudane inwestycje w infrastrukturę, takie jak zbyt wybetonowane, pozbawione zieleni przestrzenie publiczne. Zwyczajnie niesprawiedliwe i krzywdzące

dla lokalnych mieszkańców i kadr są jednak posty, artykuły, tweety i komentarze autorstwa świadomych klimatycznie „młodych, wykształconych, z wielkich ośrodków”, z których sączy się kategoryczne potępienie całych procesów rewitalizacji tylko dlatego, że w portalu społecznościowym pojawiło się wykadrowane zdjęcie kawałka betonowego placu w mieście, w którym nigdy nie byli i którego

W dzisiejszym świecie potrzebujemy dyskusji o alternatywach dla betonu w budownictwie

nie znają. Dobrze przeprowadzona rewitalizacja może wręcz przynieść korzyść klimatowi i środowisku, np. przyczyniając się do zwiększenia efektywności energetycznej modernizowanych budynków.

Presja ma sens, zachowajmy jej zdobycze

Nie można oczywiście pominąć pozytywnych skutków nagłośnienia zagadnienia niezbyt przemyślanych modernizacji polskich placów. Chwytlive pojęcie „betonoży” zrobiło karierę w dyskusie nieeksperckim, unaoczniając ważny problem szerszym kręgom, do tej pory niezainteresowanym tematyką miast i ich rozwoju. Dzięki hasztagowi, książce i gorącym dyskusjom wiele osób dowiedziało się, dlaczego uszczelnianie przestrzeni publicznych za wszelką cenę oraz pozbawianie ich drzew jest niemądre w perspektywie zmian klimatu i ich skutków dla miast. To duży sukces – agenda nowoczesnej urbanistyki w końcu przedostaje się do powszech-

nej świadomości. Dzięki temu możemy spodziewać się, że obywatele i media będą wywierać na samorządowców jeszcze większą presję, aby ci decydowali się na odpowiedzialne klimatycznie i środowiskowo rozwiązania. Ta presja już zresztą jest wywierana, a w urzędach coraz częściej zasiadają osoby świadome takich wyzwań. Dowód? Warszawski Plac Pięciu Rogów i kolejne plany zazielenienia oraz przywracania

pieszym ulic Złotej i Zgoda w stolicy.

Upowszechnienie hasła „betonoża” spłaszcza jednak problematykę kształtowania przestrzeni miast jedynie do (nie)stosowania w niej nasadzeń i (nie)przepuszczalnych tworzyw. Rzecz jasna, refleksja na ten temat jest potrzebna – musimy zastanowić się, jaki materiał, skoro nie beton, powinien być budulcem miast przyszłości. Jako laboratorium mogą posłużyć eksperymenty ze współczesnym budownictwem drewnianym – prefabrykowanym, trwałym, ognioodpornym i mniej emisyjnym. Przygotowania do takich inwestycji trwają także w mniejszych ośrodkach, m.in. w Środkiej Śląskiej. Nie możemy zrezygnować również z uwagi na drzewa w mieście – bardzo ważne jest zachowywanie i pielęgnacja już istniejących nasadzeń oraz drzew starych, a także opracowywanie standardów zieleni miejskiej określających szczegółowe warunki bytowania roślinności. Problemy środowiskowe miast są jednak o wiele większe, niż może

nam się wydawać. Adaptacja miast do zmian klimatu (ale też ich mitygacja) nie powinna się kończyć na dbałości o to, by place centralne i inne przestrzenie publiczne pozostawały zielone.

Idźmy po więcej

Betonoza dotyka jedynie wierzchołka góry lodowej, który widzimy na co dzień. Tymczasem pod nim niecierpiący się większym zainteresowaniem pozostaje m.in. *brak mądrego planowania przestrzennego*, skutkujący np. suburbanizacją i zabudową kluczowych terenów zielonych. „Ukryty”, choć nieco bardziej eksplorowany w głównym nurcie, jest również *temat zrównoważonej mobilności, a właściwie jej braku* – uprzywilejowanie samochodu w miastach jest nie tylko emisyjne, ale ma także wpływ na bezpieczeństwo i zachowania społeczne, co przekłada się np. na decyzje o zamieszkiwaniu. W końcu, z zewnątrz niepozorna góra lodowa urbanistycznych problemów skrywa pod spodem *niepartnerskie traktowanie obywateli przez władze w prowadzonym dialogu*, tj. fasadowość i pozorność konsultacji społecznych (również tych prowadzonych w sprawie adaptacji do zmian klimatu) czyli niebranie pod uwagę wniosków z nich płynących, co skutkuje kolejnymi nietrafionymi decyzjami i brakiem identyfikacji mieszkańców z nowymi rozwiązaniami. Do tej listy z pewnością można dopisać jeszcze więcej miejskich wyzwań, które betonoza przyćmiewa.

Konsekwencje tych zjawisk lub zaniechań są dla każdego z samorządów groźniejsze niż modernizacja jednego czy dwóch placów, ponieważ w sposób

trwały wpływają na rozrost lub kurczenie się miasta i eksploatację jego ważnych zasobów (przestrzennych, środowiskowych oraz społecznych) w dużej skali. Poradzenie sobie z nimi wymaga działań większych i ambitniejszych niż dokonanie uzupełniających nasadzeń lub rozpytowanie fragmentu rynku. Przykładowo o wiele łatwiejsze byłoby przywrócenie zieleni wszystkim negatywnie ocenianym polskim placom niż kompleksowa przebudowa przeskalowanych układów drogowych, budowa linii transportu szynowego i wznowienie

O sukcesie rewitalizacji nie decyduje wygląd placu miasta, lecz przewyższenie kryzysu społecznego

pociętych w ostatnich 30 latach połączeń PKS w całym kraju.

Nielatwo będzie również odwrócić już wydane decyzje zezwalające na zabudowę obszarów cennych przyrodniczo, np. klinów nawietrzających miasta (lasów, łąk, parków lub ogrodów ciągnących się od granicy miasta w kierunku jego centrum, umożliwiających przepływ świeżego powietrza i jego chłodzenie). Betonowe rynki wydają się nieznacznym i dającym się naprawić niskokosztowo problemem, gdy zestawimy je też z marzeniem o powstrzymaniu i odwróceniu trwającej od lat. 90. suburbanizacji, czyli nieskoordynowanego rozrostu miasta na zewnątrz. Proces ten zachodzi w kierunku nierzadko słabo skomunikowanych mniejszych miejscowości, niedysponujących adekwatnym zapleczem usługowym, edukacyjnym czy medycznym. Suburbanizacja rocznie kosztuje nas

miliardy złotych – na same dojazdy jako obywatele wydajemy 25,9 mld zł, a do tego dochodzą wydatki gmin na wykup terenów pod rozwój infrastruktury i jej budowę oraz utrzymanie. Naprawa dysfunkcyjnych przedmieść i próba zaradzenia negatywnym skutkom społecznym oraz przyrodniczym wynikającym z tego zjawiska zajmie pokolenia i będzie kosztowała kolejne miliardy.

Czy nie nadszedł najwyższy czas, by próbować przebić te tematy do mainstreamu? Skoro udało się już wprowadzić do ogólnopolskiego dyskursu nie-

gdyś niszowe, branżowe zagadnienie, tj. jakość urządzania przestrzeni publicznych, może warto zawalczyć o zainteresowanie masowego odbiorcy tematami bardziej wymagającymi? Eksperci od spraw miejskich i aktywiści dysponują już solidnym doświadczeniem w forsowaniu progresywnej agendy. Podniesienie alarmu wokół betonozy odniosło swój skutek – w zeszłym roku pojawiła się nowa wykładnia konserwatorska broniąca zieleni w przestrzeniach rynkowych, a zapowiedź braku finansowania „nieprzyjaznych klimatowi rewitalizacji” padła w lipcu br. ze strony Komisji Europejskiej. Temat zabetonowania polskich przestrzeni publicznych należy monitorować, ale jako środowisko urbanistyczne powinniśmy postawić poprzeczkę wyżej. W przeciwnym wypadku krzyżowanie o „betonozie” okaże się tylko pójściem na łatwiznę. ♦

Michał Pytlik

Politycy prawicy, Wasz głos w sprawie adaptacji miast do skutków zmian klimatu bardzo się liczy

Rozmowa z JACKIEM LEKKIM, aktywistą klimatycznym

Stowarzyszenie Miasto Jest Nasze szacuje, że Warszawa w wyniku wycinki drzew straciła do tej pory co najmniej 2 mld zł. Choć świadomość znaczenia drzew w miastach jest bardzo wysoka, w całej Polsce wciąż trwa masowa wycinka. O tym, dlaczego tak jest i co należy z tym zrobić, mówi jeden z inicjatorów akcji Moratorium dla Drzew Jacek Lekki w rozmowie z Michałem Pytlikiem.

Michał Pytlik: Jak zrodziła się inicjatywa Moratorium dla Drzew i czym ona dokładnie jest?

Jacek Lekki: Moratorium dla Drzew to uruchomiona przez Fundację FOTA4Climate kampania społeczna, której nadrzędnym celem jest zmiana prawa dotyczącego gospodarowania drzewami oraz szerzej rozumianą przyrodą na obszarach zurbanizowanych. Jej katalizatorem były przerażenie i gniew powodowane bezprecedensową dewastacją przyrody w bezpośrednim otoczeniu ludzi. Dewastacja to może zresztą

za słabo powiedziane, to jest wandalizm przykrywany – proszę wybaczyć ostre określenie – bredzeniem o rozwoju. Ale nie o uczucia tu oczywiście szło, tylko o proste konstatacje dotyczące obowiązującego stanu prawnego, który zdaje się w ogóle nie uwzględniać rosnącej presji klimatycznej, a na dodatek skazuje nas wszystkich na stałe i nudne już wręcz odgrywanie tego samego schematu nierównej walki tzw. obrońców przyrody, dość chętnie zresztą nazywanych „ekoterrorystami”, z władzami lokalnymi. Zaproponowaliśmy zatem, by wprowadzić w Polsce moratorium na wycinki drzew na terenach zamieszkałych przez ludzi oraz przystąpić w okresie jego trwania do gruntownego przemyślenia i przeformułowania prawa w tym zakresie.

Jakie działania do tej pory podjęliście?

Zaczął się od bardzo dynamicznej kampanii w Internecie

i mediach, której pierwszym owocem było powstanie nieformalnej koalicji kilkudziesięciu organizacji zajmujących się tą tematyką i skupienie ich uwagi na takim właśnie podejściu do problemu. Towarzyszyły temu webinaria i inne wydarzenia (nie tylko wirtualne), na które zapraszaliśmy wybitnych specjalistów. Tworzyła się baza wiedzy – wszystko jest dostępne na naszych kanałach informacyjnych. Jednocześnie napisaliśmy stosowną petycję, która została złożona w Sejmie RP, Ministerstwie Klimatu i Środowiska oraz Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

I z jaką reakcją się spotkaliście?

Właściwie zerową. Zaledwie kilkoro polityków zainteresowało się tematem i np. wzięło udział w lokalnych spotkaniach z zaniepokojonymi skalą zjawiska mieszkańcami. I choć były to bardzo udane rozmowy,



Il.: Jacek Lekki - pomysłodawca ogólnopolskiej inicjatywy Moratorium dla Drzew, archiwum prywatne

zawsze kończyły się tym samym wnioskiem – droga do celu będzie długa. Politycy zdają się nie dostrzegać albo nie chcą dostrzegać konieczności podjęcia radykalnych działań, i to w trybie pilnym.

Czyli porażka?

Z pewnego punktu widzenia tak, a z innego absolutnie nie. Większość ludzi zajmujących się zmianami klimatycznymi wie, że ich starania to ciąg porażek przetykanych rzadkimi sukcesami, zwłaszcza w zetknięciu ze światem polityki i biznesu, co pokazują w zenującym stylu spotkania COP. Sam stan, w jakim znajduje się globalny ekosystem i biosfera, to jedna wielka klęska. Z drugiej strony nikt rozsądny nie oczekiwałby w naszym wypadku scenariusza typu *blitzkrieg*. Po grudniowej konferencji podsumowującej kolejny rok działalności F4C i Moratorium dla Drzew trwają już prace na projektami ustaw. Będziemy dążyć do tego, by zostały złożone jako projekty poselskie, ale przygotowujemy się także na scenariusz projektu obywatelskiego. Poza tym to pospolite ruszenie angażujące bardzo wiele organizacji i fantastycznych ludzi w całym kraju umożliwia coraz skuteczniejszy opór wobec barbarzyństwa czasów schyłku.

Wróćmy do polityki. Sądysz, że rzeczywiście istnieje konieczność działań o charakterze „radykalnym i pilnym”? Tak. Narzuca ją tempo katastrofy klimatycznej, wystarczy rozejrzeć się wokół. My jednak wciąż myślimy w kategoriach z odległej przeszłości, a jedną z nich jest mit wzrostu świadomości

społecznej, czyli wiara, że edukacją i propagowaniem wiedzy doprowadzimy do zmiany, po czym ludzie w ramach istniejących regulacji zaczną podejmować inne decyzje. To wszystko oczywiście ważne, zapominamy jednak, że takie zmiany trwają, a my nie mamy już czasu. Można to ująć drastyczniej: pacjentowi, który trafia z zawalem serca na SOR, nikt nie tłumaczy, że należy dbać o dietę, ruch i tryb życia oraz nie palić papierosów i nie nadużywać alkoholu, tylko ratuje mu się życie wszystkimi dostępnymi w medycynie sposobami. Na rozmowy o profilak-

W tym kontekście przyroda i nasze środowisko przestają być zasobem, a stają się wręcz kolejnym elementem infrastruktury krytycznej kraju i w konsekwencji – miast

tyce przyjdzie czas, jeśli pacjent przeżyje.

A do kogo dokładniej apelujecie? Które ministerstwo musi podjąć działania i co dokładnie ma zrobić?

Do przedstawiceli władzy ustawodawczej przede wszystkim. Władza wykonawcza to odrębny temat – przypisanie poszczególnych sfer życia poszczególnym ministerstwom w tym wypadku spowalnia proces zmian. To, co postulujemy, wymaga bowiem zintegrowania myślenia i działania międzyresortowego. Jeśli pytasz, co mogłyby zrobić ministerstwa, to powiedziałbym, że przestać się kłócić o to, kto ważniejszy, tylko wydzielić kwestie adaptacji do jakiejś nadrzędnej ciała decyzyjnego. Wprowadzając jakiś postulat dotyczący

drzew, natychmiast natykamy na sprzeczność w postaci przepisów z zupełnie innych zakresów, np. komunikacji, prawa wodnego itd. To bardzo trudne zadanie i prawdopodobnie przerasta ono możliwości poznawcze polityków obecnego czasu.

Sama kampania nie jest jednak po to, by ingerować w każdy szczegół prawny, lecz po to, by naciskać na to, co najważniejsze, czyli na sam powód, dla którego pisze się ustawy. W naszej ocenie znaleźliśmy się w sytuacji tak wielkiego zagrożenia, że dosłownie każda regulacja prawna musi brać pod uwagę katastrofę

klimatyczną jako podstawowy punkt odniesienia. Podejmując jakąkolwiek decyzję w obszarze gospodarczym i społecznym, powinniśmy zawsze najpierw zadać sobie pytanie, w jakim stopniu sprzyja ona adaptacji do nowych warunków, bo o zatrzymaniu zmian nie możemy już marzyć. W tym kontekście przyroda i nasze środowisko przestają być zasobem, a stają się wręcz kolejnym elementem infrastruktury krytycznej kraju i w konsekwencji – miast.

Kluczem jest więc fundamentalna zmiana przyczyny, dla której funkcjonuje prawo. Dotychczasowe opiera się na założeniu pragnienia nieograniczonego wzrostu i przekonaniu, że wszystko jest w gruncie rzeczy w porządku, a my chronimy przyrodę, gdyż jest ona cennym

zasobem pozostawionym do naszej dyspozycji. Jeśli ten sposób myślenia uda nam się przełamać, reszta to już szczegóły. Obawiam się jednak, że bieg spraw zmieni to myślenie w sposób gwałtowny i – delikatnie rzecz ujmując – bardzo przykry dla wszystkich. Lepiej zrobimy to sami w rozsądny i uporządkowany sposób, póki jest jeszcze czas.

A skąd się bierze ten problem z drzewami ze strony polityków? Wydawałoby się, że wszelkie korzyści, jakie płyną z obecności drzew w mieście – ochłoda podczas upału, adaptacja do zmian klimatycznych, lepsze samopoczucie – są oczywiste. Jak to możliwe, że można rżnąć drzewa na potęgę, a burmistrzowie i prezydenci, którzy to zlecają, są wybierani ponownie?

Bardzo chętnie posłuchałbym odpowiedzi samych polityków na to pytanie. Myślę, że współczesna klasa polityczna utraciła suwerenność na wszystkich szczeblach i już dawno wyrzekła się zdolności do podejmowania odważnych, kontrowersyjnych decyzji. Odnoszę wrażenie, że wyobraża sobie swoją rolę wyłącznie jako krótkoterminowe spełnianie oczekiwań wyborców, nie rozumiejąc zresztą różnicy między zaspokajaniem potrzeb a zaspokajaniem pragnień, w tym nieświadomych. No i jest jeszcze oczywiście kwestia czysto biznesowa. Warto pamiętać, że każda „rewitalizacja” rynku, nowe osiedla w miejsce wyciętego zagajnika czy ścieżka rowerowa, której powstanie kosztowało 100 wyciętych drzew, to pieniądze. Można wydać z budżetu, lokalne firmy zarabiają. To dlatego widzujemy od czasu do czasu

Większość ludzi zajmujących się zmianami klimatycznymi wie, że ich starania to ciąg porażek przetykanych rzadkimi sukcesami

w 30-stopniowym upale pana „koszącego” trawnik, którego już nie ma, bo wszystko dawno uschło. A to po prostu grafik i kasa. Czasem myślę, że wszystko działa na zasadzie „zbudujmy ile się da, póki jeszcze można”. Poza tym jest to mechanizm

albo smarkaczy przeszkadzających „normalnym ludziom” żyć. Nota bene rodzące się permanentnie na lewicy, absurdalne w swoich podstawach mrzonki o stworzeniu świata idealnego, rozproszonego, zasilanego czystą energią z wiatraków,

W perspektywie politycznej nieszczęście polega na tym, iż kwestie ekologii i środowiska zlepily się za bardzo z lewicą (. . .) osoby, które zajmują się tymi problemami, są uważane za „lewaków”, świrów albo smarkaczy przeszkadzających „normalnym ludziom” żyć

korupcyjnego, ale tu się zatrzymam, bo trzeba byłoby rzetelnie zbadać po tym kątem konkretne przedsięwzięcia z osobna, żeby nie rzucać nieuprawnionych oskarżeń.

Problemy w miastach generowane przez wycinki drzew są szeroko opisane przez naukę i wydają się przekraczać granice podziałów politycznych. Dlaczego tak się dzieje, że pomimo bezstronnych wyników badań na przeszkodzie zmianom stają samorządowcy i politycy?

Mówiliśmy już o tym wcześniej, ale warto jeszcze dodać, że w perspektywie politycznej nieszczęście polega na tym, iż kwestie ekologii i środowiska zlepily się za bardzo z lewicą. To ma swoje historyczne przyczyny, o których długo by mówić, ale ważny jest skutek: przez znaczną część społeczeństwa (choć nie jestem do końca pewien, czy jesteśmy jeszcze społeczeństwem) osoby, które zajmują się tymi problemami, są uważane za „lewaków”, świrów

w którym ludzie żyją w miłości do siebie nawzajem i do przyrody, oraz wszelkie mesjanizmy, np. oczekiwanie na gigantyczne magazyny energii mające zaspokoić potrzeby przemysłu, gdy już zrezygnujemy z węgla – nie pomagają sprawie. Utknęliśmy w klinclu, w którym prosta i mało dyskusyjna kwestia zapewnienia ciągłości życia i zdobyczy cywilizacji stała się zakładniczką coraz bardziej brutalnych wojen ideologicznych. W mojej ocenie w adaptacji do zmian klimatycznych przełamanie tego klinclu jest podstawowym zadaniem dla nas wszystkich. Jest w tym bowiem jakiś paradoks, że konserwatyzm, który nawet w swoim źródłosłowie ma „zachowanie”, nie kwapi się – przynajmniej na razie – do poważnego potraktowania sprawy. Na szczęście od pewnego czasu możemy już obserwować znaczące zmiany i osobiście mam nadzieję, że te pierwsze jaskółki są zwiastunem pełnego zaangażowania tzw. prawicy w kwestie klimatyczne i ochronę przyrody w miastach.

Co w tym świetle chciałbyś powiedzieć politykom prawicy?

Chwila na zastanowienie... Mogę zacząć tę proklamację od „drodzy politycy prawicy”?

Możesz.

Drodzy politycy prawicy, zechciejcie nie tracić z oczu tego, iż Wasi wyborcy nie są ludźmi głupimi. Być może, jak większość ludzi zresztą, nie potrafią w pełni precyzyjnie konceptualizować oraz werbalizować swoich spostrzeżeń i lęków, ale widzą i doświadczają, w jak szybkim tempie zmieniają się warunki zewnętrzne: pogoda, stosunki wodne, świat przyrody, oraz rozumieją związek tych zmian z jakością życia, swoimi możliwościami działania, a także przyszłością swoich dzieci i wnuków. Narasta w nich cały kompleks uzasadnionych obaw i tylko czekają, aż zaproponujecie rozsądne, pragmatyczne rozwiązania, które na te obawy odpowiedzą. Nie tracicie także z oczu faktu, że polskie społeczeństwo jest raczej tradycyjne i dominuje w nim trend centroprawicowy, zatem Wasz głos w sprawie adaptacji miast do skutków zmian klimatu i w poszukiwaniu rozwiązań bardzo się liczy. ♦

Więcej o inicjatywie Moratorium dla Drzew można przeczytać na www.moratoriumdladrzew.pl oraz na profilu na Facebooku www.facebook.com/moratoriumdladrzew.

Jacek Lekki – aktywista klimatyczny związany z fundacją FOTA4Climate, pomysłodawca ogólnopolskiej inicjatywy Moratorium dla Drzew, psychoterapeuta.

Katarzyna Gasparska

Czy zakazać budowy domów jednorodzinnych?

Marzymy o własnym domu z ogródkiem, ale marzenia zmieniają się wraz z sytuacją na świecie. Doświadczenie kwarantann i pracy zdalnej wpłynęło na nasze preferencje mieszkaniowe, chętniej niż wcześniej zdecydowaliśmy się na domy jednorodzinne. Wyższe ceny materiałów budowlanych zweryfikowały nasze plany, a później również drastyczny wzrost kosztów kredytów odwiódł wiele osób od pomysłu budowy czy kupna domu. Dobrze jest mieć marzenia, ale dobrze jest też się im przyjrzeć trzeźwym okiem. Czy budownictwo jednorodzinne ma w ogóle sens?

Pomijając kwestie ekonomiczne, czyli czy stać nas na budowę domu, warto rozpatrzyć, czy „stać” nas jako społeczeństwo na budowę domów jednorodzinnych w dobie katastrofy klimatycznej. Taki dom jest jednym z symboli dobrobytu, to luksus, którego trudno sobie odmówić, jeśli tylko możemy sobie na niego pozwolić. Trzeba jednak wyjść poza myślenie w kategoriach: co się nam opłaca i czego chcemy, na rzecz myślenia o dobrostanie społeczeństwa i środowiska. Musimy przestać być egocentrykami. Naturalnie odcięcie się od swoich zachcianek wzbudza nasz wewnętrzny sprzeciw, lecz do problemu warto podejść rozsądnie. Po napisaniu arty-

kułu *Zbuduj sam dom*¹ dostałam sporo wiadomości krytykujących pomysł samodzielnej budowy małych domów. Trudno jest się z taką oceną nie zgodzić. Budowa domów jednorodzinnych jest nieefektywna. Rozlewanie się miast, zabudowywanie terenów podmiejskich, czyli suburbanizacja, to zjawisko negatywne pod wieloma względami. Suburbanizacja polega na rozwoju stref podmiejskich, a my przecież jesteśmy uczeni, że rozwój to coś dobrego. Tereny podmiejskie zmieniają swoją funkcję i stają się tzw. sypialnią miasta, czyli miejscem, gdzie mieszkamy, a właściwie „śpimy”, a do pracy dojeżdżamy. Do sklepu dojeżdżamy, do restauracji dojeżdżamy, do szkoły dojeżdżamy, na zajęcia dojeżdżamy itd. Rodzi to szereg problemów. Jednym (głównym) z nich jest transport: czas, który tracimy, stojąc w korkach, paliwo, które spalamy, środki, które przeznaczamy indywidualnie na dojazd, ale również jako społeczeństwo na utrzymanie i budowę nowych dróg.

Udział gospodarstw domowych osób żyjących w domach jednorodzinnych w Polsce wynosi 56%, podczas gdy jeszcze w 2006 r. było to 42% – to nie jest dobry trend, choć indywidualnie pewnie ten fakt nas cieszy. Z jednej strony chcemy mieszkać w domu, bo kojarzy nam się to z większym komfortem, przestrzenią i bliskością natury, z drugiej – przeprowadzając się do domów, w zatem zabudowując tę naturę kolejnymi budynkami, niszczyliśmy ją. Nieefektywność zabudowy jednorodzinnej polega na tym, że na takim samym

kawałku ziemi, ale w zabudowie mieszkaniowej, prościej mówiąc: „w blokach”, mieszkać może więcej osób. Pod budowę domów wycinamy kolejne drzewa, osuszamy kolejne bagna, zamieniamy działki orne na budowlane, zużywamy więcej materiałów budowlanych, ale co również ważne i równie szkodliwe: produkujemy więcej spalin, przemieszczając się z przedmieść i wsi w kierunku miast oraz ogrzewając nasze domy na wyłączność. Owszem, wśród budujących rośnie świadomość konieczności stosowania ekologicznych rozwiązań, jednak aby zatrzymać katastrofę klimatyczną, potrzebne są radykalniejsze działania, w tym zmniejszenie powierzchni mieszkania przypadającej na jedną osobę, czyli budownictwo mieszkaniowe.

Budowa domów jednorodzinnych jest nieefektywna

I jasne, że teraz odezwą się głosy, które w ostatnim czasie mocno krytykują (zresztą słusznie) patodeveloperkę, która upycha nas w „mikroapartamentach”. Jak więc mieć ciastko i zjeść ciastko? Trudno jest mówić o kompromisie w sytuacji katastrofy klimatycznej.

Zbędne inwestycje

Całkiem sensownym „kompromisem” wydaje się zaprzestanie wydawania pozwoleń na budowę w miejscach dotąd niezabudowanych. W miastach powinno się wydawać pozwolenia wyłącznie na zabudowę

¹ K. Gasparska, *Zbuduj sam dom* [w:] „Równość” nr 4/2019.

wielorodzinna, przy czym budownictwo wielorodzinne nie może pozostać w rękach patodeveloperów. Nie chodzi o ciągle „dogęszczanie” miast. Architektura odpowiada za 40% światowych emisji dwutlenku węgla, produkcja cementu – za 11%. Od 2030 r. ma być wprowadzony obowiązek obliczania śladu węglowego każdego budynku². Jest to dobry krok w kierunku zmiany myślenia o projektowaniu budynków. Czas skończyć ze spełnianiem nieuzasadnionych zachcianek inwestorów. Pomimo tego, że poprawia się efektywność energetyczna budynków, wciąż rośnie ich łączna powierzchnia użytkowa, a co za tym idzie, emisja gazów cieplarnianych³.

Obecnie przed architekturą stoi duże wyzwanie – czy w ogóle projektować? Czy potrze-

² P. Wiśniewski, Ślad węglowy będą liczyć architekci. Obowiązek dla każdego budynku od 2030, <https://www.muratorplus.pl/biznes/wiesci-z-rynku/slad-weglowy-co-to-aa-08Wc-8de3-nR07.html> (dostęp: 13.08.2022).

³ Tamże.

bujemy kolejnych budynków? Większość inwestycji, które dziś powstają, nie jest niezbędna. Przemysłane budowanie bloków mieszkaniowych z uwzględnieniem potrzeb ich mieszkańców, ale również w otoczeniu przyrody może pozwolić na zachowanie względnej równowagi. Architektura jest w stanie

Zachowanie bioróżnorodności w miastach może powstrzymać ludzi przed suburbanizacją oraz nieefektywnym budownictwem jednorodzinny

zmierzyć się z wyzwaniami, jakie stają przed nami w związku z katastrofą klimatyczną i ekonomią wzrostu. Radzenie sobie z klimatem jest tak stare jak budownictwo w ogóle. Przez lata chroniliśmy się przed np. niską lub wysoką temperaturą, korzystając z bardziej ekologicznych rozwiązań niż dziś (np. łamaczki światła, ciasne ulice,

chłodzenie mieszkańców poprzez przeciąg). Klimat się zmienia, tym samym musimy zmienić sposób budowania, przesuwając swoją granicę komfortu i co chyba łatwiejsze do zaakceptowania, granice estetyczne. Bo o ile trudno będzie przekonać ludzi, aby np. obniżyli wymagania co do temperatury zimą,

przykręcając nieco kaloryfery, czy odwrotnie – latem nie włączali klimatyzacji, o tyle zupełnie bez sensu jest bronienie nieefektywnych termicznie projektów tylko dlatego, że są efektowne i miłe dla oka. Mowa np. o modnych dużych przeszkleniach, ciemnych pokryciach dachowych czy elewacjach, ale także wygodnej kostce brukowej

zamiast żwiru czy trawnika oraz samych domach jednorodzinnych. Najmniej ekologiczny jest właśnie luksus posiadania własnego domu. Niewydawanie zgód na budowę domów jednorodzinnych może być również wbrew pozorom sposobem na... brak miejsc do mieszkania. Taką decyzję (choć czasową) podjęli np. radni w jednej z dzielnic Hamburga⁴ – dzięki temu mają powstać przystępne cenowo mieszkania dla większej liczby osób.

Pałace problemy miast

Rozlewanie się miast jest sporym problemem, należy jednak pamiętać, że to właśnie mieszkańcy i mieszkanki miast są najbardziej narażeni na zmiany klimatu. W polskich miastach żyje obecnie ponad 60% mieszkańców naszego kraju (w blokach oraz domach jednorodzinnych). Fale upałów, opady o dużym natężeniu, a także zanieczyszczenia powietrza to główne bolączki miast. Do tego dochodzą takie problemy jak zanieczyszczenie hałasem, ale także przepełnione mieszkania. Nic więc dziwnego, że „uciekamy” na wieś oraz (co gorsza) likwidujemy kolejne zielone tereny, aby się budować. W Europie i Stanach Zjednoczonych powoli mówi się o wprowadzeniu zakazu budowania domów jednorodzinnych⁵, nie można przy tym jednak zapominać o problemach i wyzwaniach, jakie stoją przed miastami.

⁴ Niemcy. Trwa debata nad przyszłością domów jednorodzinnych. Brakuje na nie ziemi, <https://www.money.pl/gospodarka/niemcy-trwa-debata-nad-przyszloscia-domow-jednorodzinnych-brakuje-na-nie-ziemi-6614175620934400a.html> (dostęp: 13.08.2022).

⁵ A. Prajsnar, Ograniczenie budowy nowych domów? W Niemczech i USA ta dyskusja już trwa, <https://forsal.pl/nieruchomosci/aktualnosci/artykuly/8479654,ograniczenie-budowy-nowych-domow-niemcy-usa.html> (dostęp: 13.08.2022).

Wiele „miejskich” problemów można rozwiązać, zwracając się właśnie ku naturze.

Powierzchnie sztuczne, takie jak asfaltowe drogi i betonowe budynki, sprzyjają upałom. Miejska wyspa ciepła to zjawisko łatwe do zaobserwowania, kiedy przemierzamy się z obszarów peryferyjnych do miast. W mieście jest cieplej nawet do 1,5°C! Dlatego projektując nowe osiedla, ale również rewitalizując stare, należy pamiętać o drzewach i innej roślinności. Zamiana nieużytków na zielen jest dobrym krokiem, zwłaszcza że zielone nieużytki w miastach stają się swego rodzaju nieformalnymi parkami, miejscami spotkań ludzi⁶. Mamy tutaj podwójną

Rozlewanie się miast jest sporym problemem, należy jednak pamiętać, że to właśnie mieszkańcy i mieszkanki miast są najbardziej narażeni na zmiany klimatu

wygraną – tereny zielone obniżają temperaturę, pełnią funkcje melioracyjną, retencyjną, ale także pozytywnie wpływają na zdrowie psychiczne mieszkańców miast.

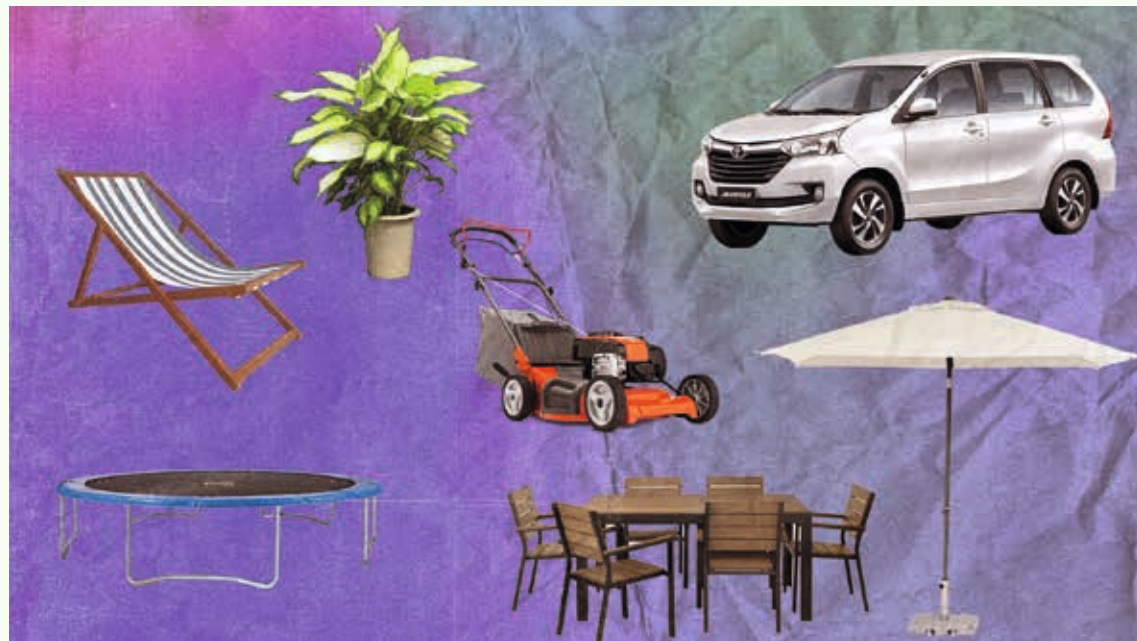
O dobroczynnym wpływie przebywania wśród natury, szczególnie lasów, pisała Iwona Gałązka w numerze *W drodze!* z 2021 r.⁷ Kąpiele leśne mają na nas zbawienny wpływ i nawet jeśli nie wiemy, dlaczego tak się dzieje, to wielu z nas intuicyjnie odpowie, że lekiem

⁶ A. Wilczyńska, B.J. Gawryszewska, (Nie)użytki Warszawy – potencjał dla zieleni miejskiej, <https://uslugiekosystemow.pl/2018/08/16/nieuzytki-warszawskie-potencjal-dla-zieleni-miejskiej/> (dostęp: 13.08.2022).

⁷ I. Gałązka, O turystyce zdrowotnej, czyli las na receptę, „Równość” nr 3/2021.

na stres może być np. weekend na wsi czy grzybobranie. Studia nad kąpielami leśnymi obejmowały m.in. badania kortyzolu (hormonu stresu) ze śliny, poziomu glukozy we krwi oraz ciśnienia i rytmu serca u osób, które na co dzień żyją w stresujących warunkach, ale zażywały „lasoterapii”. Pisząc o dobroczynnym wpływie natury na człowieka, nie mam na myśli żadnej nowej mody na szamanizm. Historia parków miejskich sięga XVII w. Sanatoria oraz inne uzdrowiska są nam znane od wieków i nierozwalnie wiązały się z terenami zielonymi, szeroko pojętą naturą. Rewolucja francuska sprawiła, że prywatne ogrody stały się parkami publicznymi

i więcej osób mogło korzystać z ich dobrodziejstw. Niewielkie prywatne ogródki przydomowe to zatem krok wstecz. Zwolnienie tempa, przebywanie wśród drzew, łąk, gór czy jezior bardzo często są receptą na problemy związane ze stresującą pracą, życiem w ciągłym biegu, miejskim hałasem. W Japonii kąpiele leśne są przepisywane na receptę i obejmują je ubezpieczenie zdrowotne (zorganizowane wyjazdy do lasów czy parków są finansowane przez zakłady ubezpieczeń). Badania mówią, że weekendowy spacer po lesie „ładuje” nas na cały tydzień życia w mieście, dlatego nie ma konieczności



od razu kupowania kawałka ziemi pod miastem i stawiania tam domku letniskowego. Nie wszyscy musimy też mieszkać w domu z ogrodem.

Możemy pogodzić nasze miejskie życie z dobrostanem psychicznym. Ważne jest, abyśmy z nadto nie oderwali się od natury, jak również to, by mieć gdzie ładować baterie, a nie zawłaszczając każdego najmniejszego terenu zielonego. Zachowanie bioróżnorodności w miastach może powstrzymać

Znaczenie przestrzeni publicznej roślinie, w miastach musi się dać mieszkać

ludzi przed suburbanizacją oraz nieefektywnym budownictwem jednorodzinnych. Sama mieszkam w domu jednorodzinnych i obserwuję, do jak absurdalnych sytuacji dochodzi na terenach podmiejskich. Większość moich sąsiadów dojeżdża do pracy do miasta, starsze dzieci muszą dojeżdżać do szkół średnich. Mało kto ma czas na uprawianie owoców i warzyw, częstszym widokiem w ogrodzie jest trampolina (każdy dom musi mieć swoją, dzieci bawią się osobno, a nie na wspólnym placu zabaw) i zabudowany taras (bo przecież meble ogrodowe nie mogą stać na trawniku ani moknąć pod gołym niebem) niż posadzone porzeczki, maliny, truskawki, czereśnie albo pomidory, ogórki czy ziemniaki. Każdy sąsiad ma swoją kosiarkę i wszyscy mamy równo skoszone trawniki. Denerwujemy się, że gmina nie odbiera odpadów bio, tylko musimy uczyć się kompostować. Pod każdym domem stoją przynajmniej 2 auta, które mają

swoje osobne domki – garaże lub wiaty. Preferujemy kostkę Bauma, naginamy przepisy dotyczące przestrzeni biologicznie czynnej. Każdy ma swoją kotłownię, swój piec, swój komin. A świat jest wspólny, nie tylko nasz.

Znaczenie przestrzeni publicznej roślinie, w miastach musi się dać mieszkać. Stawiamy na ogrody społeczne, parki, a nawet miejskie rezerwy. Mieszkania nie mogą jednak stać się małymi kłitkami do

spania, ludzie nie mogą żyć w podziemiach, tak jak się to dzieje w przeludnionych metropoliach. Nie dajmy sobie wmówić, że w miastach nie ma dla nas miejsca. Ogromna liczba pustostanów czy apartamentów na wynajem krótkoterminowy sprawia, że brakuje nam przestrzeni do życia w mieście. Ogromne tereny, które przeznaczamy na drogi i parkingi, również powinny zostać zwrócone ludziom. Zakaz budowy domów jednorodzinnych to radykalne rozwiązanie, dla wielu – skrajnie radykalne. Polityka zakazów i nakazów jest polityką porażki; porażka polega w tej sytuacji na braku zrozumienia, co leży na szali. Zaprzeszanie wydawania pozwoleń na budowę w miejscach dotąd niezabudowanych oraz wydawanie pozwoleń na budowę wyłącznie wielorodzinną w miastach powinno być jednym z bardzo wielu kroków w kierunku zrównoważonego budownictwa, o ile wciąż musimy cokolwiek budować. ♦

Adrianna Zipper

Miasta dwóch prędkości w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej

Wzrost zaludnienia w miastach z jednej strony niesie nowe możliwości rozwoju, poprawę edukacji i usług publicznych, ale z drugiej – powoduje wiele problemów na rynku pracy, mieszkań, w infrastrukturze, zaopatrzeniu w energię, a także w zakresie bezpieczeństwa. Nie mówiąc już o wzroście ubóstwa, rozwoju slumsów i degradacji środowiska. Problemy te są najbardziej widoczne w Azji, Afryce oraz Ameryce Łacińskiej i na przykładzie tych regionów najlepiej opisać zagrożenia związane z szybką urbanizacją.

Zanieczyszczenie i bieda, czyli miasta w Azji

W rozwijającej się Azji znajduje się aż 19 z 33 światowych megamiast, a według prognoz wskaźnik urbanizacji będzie nadal wzrastał. W ciągu ostatnich dziesięcioleci Azja była regionem przodującym we wzroście liczby ludności miejskiej. Spowodowało to – jak można się domyślać – wiele problemów, z którymi władze nie były w stanie sobie poradzić wystarczająco szybko.

Przeprowadzka do miast może pomóc w wydobyciu się z biedy, jeśli ma się szczęście. Niestety nie każdy je ma. Obecnie 75 mln ludzi w Azji żyje za mniej niż 3,10 \$ dziennie.

Większość ubogich mieszkańców miast tego kontynentu żyje w 3 krajach: Chinach, Indonezji i na Filipinach. Wyzwaniami, przed jakimi staje biedna ludność miejska, są m.in. bezrobocie, brak dostępu do transportu publicznego i innej infrastruktury oraz zbyt wysokie ceny mieszkań. W Ułan Bator w Mongolii dojeżdżające do pracy osoby o niskich dochodach mogą wydawać na bilety autobusowe nawet 36% swojego miesięcznego budżetu z powodu niewydajnych tras komunikacji miejskiej. W Indonezji i na Filipinach odpowiednio 27% i 21% ludności miejskiej nie ma dostępu do urządzeń sanitarnych. Mieszkańcy slumsów są również bardziej narażeni na katastrofy, ponieważ społeczności te często zajmują nisko położone tereny zagrożone powodziami.

W tej sytuacji nie pomaga fakt, że aż 5 azjatyckich metropolii znalazło się w rankingu najdroższych miast świata, jeśli chodzi o cenę za 1 m² mieszka-

nia. W Hongkongu, który znajduje się na pierwszym miejscu, za własne mieszkanie trzeba zapłacić średnio ok. 1,2 mln \$. Przez tak wysokie ceny w azjatyckich miastach wykształciło się patologiczne zjawisko „mikroapartamentów”, które zresztą zaczyna się też pojawiać w Polsce. Ludzie są zmuszeni kupować lokale mniejsze niż standardowy kojec dla dużego psa, a często nawet gnieździć się w nich w kilka osób z powodu przeludnienia i braku infrastruktury mieszkaniowej.

Według raportu Verisk Maplecroft z 2021 r.¹ miasta azjatyckie stoją w obliczu największego ryzyka problemów środowiskowych takich jak zanieczyszczenie, ekstremalne upały, zmiany klimatyczne i klęski żywiołowe. Wśród 100 miast opisywanych jako najbardziej zagrożone aż 99 to miasta azjatyckie.

Pierwsze miejsce na świecie w tym niechlubnym rankingu

przypadło stolicy Indonezji ze względu na poważne zanieczyszczenie powietrza. Dżakarta jest również stale zagrożona powodziami i aktywnością sejsmiczną. Przez miasto przepływa aż 13 rzek, które regularnie zalewają jego dzielnice. W 2019 r. prezydent Indonezji ogłosił plan przeniesienia stolicy do innego miasta, ten został jednak wstrzymany przez pandemię koronawirusa. Według doniesień Dżakarta może całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi z powodu „tonięcia miasta”².

Miasta Indii, takie jak Delhi, Chennai, Jaipur, Lucknow, Bengaluru i centrum finansowe Bombaj, znajdują się wśród 30 najbardziej zagrożonych miejsc. W ostatnich latach stolica Indii, New Delhi, trafiła na pierwsze strony gazet z powodu tak złej jakości powietrza, że urzędnicy byli zmuszeni ogłosić stan

¹ Environmental Risk Outlook 2021, <https://www.maplecroft.com/insights/analysis/asian-cities-in-eye-of-environmental-storm-global-ranking/> (dostęp: 19.07.22).

² M. Mei Lin, R. Hidayat, *Jakarta, the fastest-sinking city in the world*, <https://www.bbc.com/news/world-asia-44636934> (dostęp: 19.07.22).

Il.: Guangzhou w Chinach, Mehmet Turgut Kirkgöz z Pixabay



zagrożenia zdrowia publicznego i zamknąć szkoły.

W miastach Azji Wschodniej istnieje wysokie ryzyko wystąpienia klęsk żywiołowych. Guangzhou i Dongguan w Chinach są narażone na powodzie. Chińskie miasto Shenzhen, a także Tokio i Osaka w Japonii to obszary występowania trzęsień ziemi i tajfunów. Warto dodać, że

Ludzie są zmuszeni kupować lokale mniejsze niż standardowy kojec dla dużego psa, a często nawet gnieździć się w nich w kilka osób w powodu przeludnienia i braku infrastruktury mieszkaniowej

w Chinach i Indiach mieszka aż 286 mln spośród 336 mln ludzi żyjących w miastach szczególnie zagrożonych zanieczyszczeniem.

Władze miast oraz władze centralne w Azji stoją przed poważnym problemem. W wielu państwach migracji ze wsi do miast nie uda się zahamować, a im więcej ludności w miastach, tym większe ryzyko biedy, zanieczyszczenie oraz tym mniejsza przestrzeń przeznaczona na budynki mieszkalne.

Złudne marzenia o lepszej przyszłości w afrykańskim mieście

Afryka jest najmniej zurbanizowanym kontynentem, a mimo to tempo rozwoju jej miast rośnie szybciej niż gdziekolwiek indziej na świecie – średnio o 3,5% rocznie. Ten wzrost jest jednak zróżnicowany w całym regionie, od już dosyć silnie zurbanizowanej na tle reszty kontynentu Afryki Północnej (47,8%) do najmniej

zurbanizowanej Afryki Subsaharyjskiej (32,8%).

Ten błyskawiczny rozwój wynika z przekonania Afrykańczyków, że miasta – w przeciwieństwie do obszarów wiejskich – oferują wiele możliwości utrzymania się, w tym zatrudnienie, bezpieczeństwo żywnościowe, dostęp do finansowania, edukacji i kapitału społecznego,

a także ochronę socjalną. Szybka urbanizacja przyczyniła się również do powstania megamiast. Niektóre z afrykańskich miast już przekroczyły próg 10 mln mieszkańców. Obecnie na kontynencie istnieje 7 megamiast.

Skala urbanizacji w Afryce już teraz odbija się negatywnie na środowisku, m.in. poprzez zanieczyszczenie cennych źródeł wody i pogarszającą się jakość powietrza.

W wielu rozrastających się miastach rosnące wskaźniki przestępczości sprawiły, że szybka urbanizacja stała się problemem bezpieczeństwa. Ponadto, w miarę jak ogromna liczba ludzi przybywa do często małych i słabo rozwiniętych miast, rośnie zapotrzebowanie na miejsca pracy, energię, mieszkania, transport, wodę, podstawową edukację i opiekę zdrowotną, co często wykracza poza możliwości już i tak niedostatecznie wyposażonych władz. Zestawienia w skali globalnej z ostatnich 20 lat uwiaryściły,

jak duże w Afryce były niedostatki w zakresie infrastruktury oraz jak bardzo implikowały one nie tylko problemy związane z codziennym funkcjonowaniem milionów ludzi na kontynencie, ale także zagrożenia dla ich zdrowia i życia. Oszacowano, że ok. 180 mln mieszkańców afrykańskich miast nie miało dostępu do niezbędnych urządzeń sanitarnych, a 50 mln – do dostatecznej ilości wody zdatnej do picia.

W znacznej części kontynentu słabość władz lokalnych przyczyniła się do wzrostu przestępczości zorganizowanej, zwłaszcza na mocno zaludnionych obszarach miejskich. Szczególnie widoczne jest to w małych państwach afrykańskich, jak również w strefach konfliktów oraz na obszarach pokonfliktowych. Jako przykład można podać Kenię, gdzie akty przestępcze są powszechniejsze w dużych ośrodkach miejskich, albo Gwineę Bissau (małe państwo na zachodnim wybrzeżu Afryki), gdzie władze skonfiskowały kiedyś ponad 600 kg kokainy, ale pozwoliły handlarzom uciec z większą partią – 2,5 t – ponieważ policja nie była w stanie ich ścigać.

Jednym z czynników, które generują przestępczość w dużych miastach, są slumsy. Szanse na wydostanie się ze slumsów często są tak małe, że prawie nieistniejące. Z tego powodu ludzie żyjący w „niebezpiecznych” dzielnicach decydują się na dołączenie do grup przestępczych. Szacuje się, że w Afryce slumsy zamieszkuje ponad 210 mln osób, z czego blisko 95% w regionie subsaharyjskim. W Sudanie Południowym, Sudanie, Republice Środkowoafrykańskiej, Czadzie, na Wyspach Św. Tomasza i Książęcej, w Gwinei Bissau,

Mozambiku ludność slumsów stanowi 80–95% populacji³.

Oczywiście istnieje nadzieja na polepszenie sytuacji w miastach afrykańskich i jest nią wzmocnienie władz lokalnych. To ich słabość oraz brak środków przyczyniają się do większości problemów w ośrodkach miejskich w Afryce i to one są kluczem do rozwiązania tych bolączek. Niestety niewiele jesteśmy w stanie zrobić, jeśli chodzi o katastrofę klimatyczną, która w Afryce może stwarzać coraz to nowsze i trudniejsze do opanowania kryzysy, takie jak brak wody. To zależy głównie od korporacji, które są odpowiedzialne za większość emisji i zanieczyszczeń.

Wyludnienie wsi – geneza megamiast w Ameryce Łacińskiej

Ameryka Łacińska jest najbardziej zurbanizowanym regionem na świecie. Między 1950 a 2010 r. odsetek ludzi mieszkających w miastach wzrósł z 30% do ponad 85%. Do 2050 r. w miastach będzie mieszkać 90% mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Obecnie jest tam ponad 55 miast o liczbie mieszkańców wynoszącej 1 mln lub więcej, w tym kilka największych obszarów metropolitalnych na świecie.

Choć urbanizacja przyniosła wiele korzyści społecznych i gospodarczych, miasta Ameryki Łacińskiej z trudem przyjmowały nowych mieszkańców wsi. Rządy nie potrafiły odpowiednio zagospodarować terenu. Zamożne elity, zamiast zająć się problemem, odwracały wzrok. W rezultacie

³ M.E. Freire, S. Lall, D. Leipziger, *Africa's urbanization: challenges and opportunities*, <http://growthdialogue.org/africas-urbanization-challenges-and-opportunities/> (dostęp: 20.07.22).

Przeprowadzka do miast może pomóc w wydostaniu się z biedy, jeśli ma się szczęście. Niestety nie każdy je ma

ubóstwo szybko przeniosło się do miast. Obecnie ok. 25% populacji miejskiej w regionie – ponad 160 mln ludzi – mieszka w slumsach. Większość ubogich mieszkańców miast nie ma formalnego tytułu (nie istnieją dla państwa – w polskich warunkach można by to porównać do sytuacji, w której ktoś nie miałby numeru PESEL). Pogłębiło to nierównowagę między podażą mieszkań a popytem na nie: 3/4

Ponad 77% mieszkańców Ameryki Łacińskiej nie posiada bezpiecznych urządzeń sanitarnych, a tylko 28% ścieków w regionie jest oczyszczanych

wszystkich nowych mieszkań to lokale „nieformalne”, czyli takie, które nie mają nawet adresu.

Z powodu złego planowania i zaburzeń na rynkach mieszkaniowych dziesiątki milionów ludzi w Ameryce Łacińskiej żyje w fatalnych warunkach, często na obrzeżach miast. W większości przypadków borykają się z poważnymi trudnościami w dostępie do podstawowych usług. Ponad 77% mieszkańców Ameryki Łacińskiej nie posiada bezpiecznych urządzeń sanitarnych, a tylko 28% ścieków w regionie jest oczyszczanych. Nic dziwnego, że ubożsi mieszkańcy miast często zwracają się do nieformalnych dostawców, w tym grup mafijnych i bojówek, aby zaspokoić swoje codzienne potrzeby.

Ofiar wojny narkotykowej w Ameryce Łacińskiej jest mnóstwo – w latach 2008–2013 w samym Meksyku zginęło ok. 40 tys. osób. Związana z wojną narkotykową, ale zależna nie tylko od niej, jest eskalacja przemo-

cy wobec kobiet, np. powszechne zabójstwa kobiet w Ciudad Juárez i innych meksykańskich miastach niekontrolowanych przez państwo.

W miastach Brazylii, Kolumbii, Wenezueli i innych krajów napady na ulicach i w domach są częścią codziennego życia. Strach przed przemocą doprowadził klasy posiadające doprowadził do paranoi, pogłębianej jeszcze dawnymi wyobrażeniami

o wyższości. Książka Loïca Wacquanta *Punishing the Poor*⁴ pokazuje, że kryminalizacja życia codziennego w wielu miastach Ameryki Łacińskiej jest uwarunkowana podziałami klasowymi i rasowymi, a kary więzienia stały się opcją preferowaną przez władze niezdolne do rozwiązania problemów bezpieczeństwa.

Od wielu lat władze w Ameryce Łacińskiej nie umiały poradzić sobie z rosnącą biedą i przestępczością w miastach. Rozwiązaniem wydaje się poprawa warunków na terenach wiejskich, skąd ludzie masowo wyjeżdżają przez brak perspektyw, jak również polepszenie sytuacji socjalnej osób żyjących w biedzie w miastach.

Europa nie jest wolna od problemów

Europa jest jednym z najbardziej zurbanizowanych kontynentów

na świecie. Obecnie ponad 2/3 ludności Europy mieszka na obszarach miejskich i odsetek ten stale wzrasta. Rozwój miast będzie w przyszłości determinował rozwój Unii Europejskiej w zakresie gospodarczym, społecznym i terytorialnym. Europy nie dotyczą jednak te same problemy, z jakimi zmagają się wcześniej wspomniane regiony – ten etap urbanizacji ma już za sobą.

Stary Kontynent może się pochwalić dużym dorobkiem w zakresie tzw. polityki miejskiej. Przez lata odbyło się wiele konferencji międzyrządowych w sprawie zrównoważonego rozwoju miast. Proces polityczny jest odzwierciedlany w terenie poprzez wsparcie z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego, w szczególności w ramach projektów pilotażowych Urban i inicjatyw wspólnotowych URBAN i URBAN II. Te inicjatywy UE skupiają się w szczególności na 4 podstawowych celach: zwiększeniu dobrobytu gospodarczego i poziomu zatrudnienia w miasteczkach i miastach, promowaniu równości, włączenia społecznego i rewitalizacji obszarów miejskich, ochronie i poprawie stanu środowiska miejskiego w celu osiągnięcia zrównoważenia lokalnego i globalnego oraz przyczynianiu się do osiągnięcia dobrego rządzenia w miastach i upodmiotowienia struktur lokalnych.

Obecnie dotychczas stosowany i promowany europejski model zrównoważonego rozwoju miast może być zagrożony. Z powodu zmian demograficznych pojawił się szereg wyzwań, odmiennych niż w pozostałych regionach świata – np. występuje zjawisko kurczenia się

miast, a gwałtownego rozrostu przedmieść (głównie w Europie Wschodniej). Przez wiele lat gospodarki europejskie doświadczały stałego wzrostu gospodarczego, który pozwalała na sprawne funkcjonowanie mniejszych miast, jednak teraz, gdy to tempo spowalnia, mniejsze miasta zagrożone są stagnacją czy nawet spadkiem gospodarczym, co może doprowadzić do utraty pracy przez wielu ludzi.

„Rozlewanie się” miast i rozprzestrzenianie się osiedli o niskiej gęstości zaludnienia stanowi jedno z głównych zagrożeń zrównoważonego rozwoju terytorialnego; świadczenie usług publicznych jest tam coraz kosztowniejsze i trudniejsze do realizacji, zasoby naturalne są nadmiernie eksploatowane, sieci komunikacji publicznej niewystarczające, a stopień zależności od samochodów oraz korki w miastach i wokół miast bardzo duże.

Europy nie omija też pogłębianie się nierówności społecznych. Na pewno każdy z nas spotkał się ze złymi opiniami na temat szkół w „gorszych” dzielnicach, do których to placówek nie warto posyłać swoich dzieci. Jako że nierówności na całym świecie się zwiększają, problem słabszej jakości edukacji czy warunków mieszkaniowych dla osób z tych „gorszych” dzielnic będzie narastał. Redukcja publicznych finansów w wielu miastach doprowadziła do ograniczenia cyklicznych, korzystnych dla mieszkańców polityk. Coraz mniejsze możliwości na rynku pracy wiążą się z ryzykiem wzrostu nietolerancji i polaryzacji między osobami zasilającymi fundusze socjalne i z nich korzystającymi.

To tylko niektóre z problemów, które dotyczą lub dotkną miasta europejskie w najbliższym czasie. Jak widać, pomimo sprawnej polityki miejskiej nasz region nie jest wolny od nierówności czy innych bolączek związanych z zaawansowaną urbanizacją. Na szczęście do tej pory całkiem sprawnie udawało się nam przezwyciężać problemy związane z rozwojem miast – miejmy nadzieję, że i tym razem znajdziemy rozwiązanie.

Każdy region świata zmagają się z własnymi trudnościami wynikającymi z urbanizacji. Tam, gdzie urbanizacja następuje teraz gwałtownie, trzeba poradzić sobie ze slumsami, złymi warunkami sanitarnymi, małymi przestrzeniami mieszkalnymi. Nierówności, jakie występują w dzisiejszym świecie, w tych miastach widoczne są gołym okiem. Z centrum możemy przejść się do slumsów, przed którymi pewnie będziemy ostrzegani, i odniesiemy wrażenie, że wkroczyliśmy do innego świata – takiego, do którego nigdy nie chcielibyśmy trafić. Z nierównościami zmagają się nawet Europa, teoretycznie sprawna w zakresie polityki miejskiej. Elity odwracają wzrok od narastających problemów, często dosłownie, zamykając się za wysokimi ogrodzeniami wokół swoich osiedli. ♦

ERRATA DO NUMERU SPECJALNEGO I/2021

W tekście Adrianny Zipper *Nauka, aktywizm i walka* na stronie 22. doszło do pomyłki w nazwisku rozmówczyni. Jest: Julia Klimkiewicz, powinno być: Julia Kisielewicz. Za pomyłkę przepraszamy.

Mateusz Merta

„Młodzi wyjeżdżają”

To zdanie otwierające coraz większą część dyskusji o przyszłości polskich małych i średnich miast. Choć świadomość tego problemu jest ogromna, nadal niska jest wiedza dotycząca jego przyczyn. O młodzieży i jej potrzebach dyskutuje się praktycznie wyłącznie w kontekście szkoły, a politykom samorządowym wciąż daleko do kompleksowości znanej z rozwiązań stworzonych z myślą o grupach takich jak np. seniorzy.

Jaka jest skala problemu?

Depopulacja jest w Polsce faktem. Według danych Rządowej Rady Ludnościowej aż 70% gmin w naszym kraju w ciągu ostatnich kilkunastu lat doświadczyło ubytku ludności. Informacja ta staje się jeszcze bardziej niepokojąca, gdy uwzględnimy zjawisko suburbanizacji, której efektem jest wzrost liczby ludności w gminach otaczających duże miasta ze względu na rozrastanie się przedmieść. Mając to na uwadze, jasno widzimy, że wyludnianie się poza wielkimi aglomeracjami jest powszechne.

Nie odbywa się ono jednak równomiernie we wszystkich grupach wiekowych. Świetnym przykładem jest tutaj Bielsko-Biała, którego liczba ludności według danych GUS w latach 2009–2018 skurczyła się o nieco ponad 4000 osób. Choć spadek liczby mieszkańców wyniósł jedynie 2%, wśród młodych

⁴ L. Wacquant, *Punishing the Poor: The Neoliberal Government of Social Insecurity*, Duke University Press, Durham, NC 2009.

liczba ta wynosi aż 32%. Niewątpliwie wpływ na ten stan rzeczy ma także mniejsza liczba urodzeń, ale faktem jest, że znaczna część ludzi młodych po prostu wyjeżdża. Potwierdzają to wykonane w 2019 r. badania, według których 45% młodych bielszczan i bielszczanek nie zamierza pozostać w swoim mieście. Skala tego zjawiska to prosta droga do błyskawicznego wyludnienia się małych i średnich ośrodków w nadchodzących dekadach. Bez porządnej, wielowymiarowej polityki młodzieżowej Polskę miasteczkową czeka bolesne zderzenie z widmem demograficznej zapaści.

Kim są młodzi w mieście?

Choć brak młodych osób jest wyraźnie widoczny, ich obecność wydaje się bezustannie

ignorowana. Rozmowy na temat przyszłych dorosłych bardzo często odbywają się bez ich udziału. Jakość samych rozmów też pozostawia wiele do życzenia i dotyczy głównie szkoły – tak

Choć brak młodych osób jest wyraźnie widoczny, ich obecność wydaje się bezustannie ignorowana

jakby wąska kategoria uczniów i uczennic w pełni odzwierciedlała potrzeby młodych. A przecież mimo swojego wieku i niezależnie od tego, czy osiągnęły już pełnoletność, są równymi obywatelami i obywatelkami, którzy tak jak każda inna grupa społeczna prowadzą życie w mieście. Czy swoją przyszłość zaplanują jednak w miejscu urodzenia? A jeśli

nie, to co może zrobić samorząd, by zatrzymać odpływ młodzieży do większych aglomeracji? Na te pytania nie można udzielić odpowiedzi bez uprzedniego stworzenia narzędzi, za pomocą

których młode osoby będą mogły wyrażać swoje potrzeby i wpływać na kierunek rozwoju swoich ośrodków. Tak komentuje to Przewodniczący Młodzieżowej Rady Miasta w Bielsku-Białej, Tymoteusz Dadok:

Mamy bardzo duże pole do poprawy. [...] młodzież pozostaje grupą drastycznie niedoreprezentowaną w gronach

decyzyjnych – czy to we władzy centralnej, czy samorządowej. [...] trzeba zwrócić uwagę, że wg badań większość wszystkich bielszczan czuje, że nie ma wpływu na działania podejmowane w mieście – nie jest to więc problem unikalny dla młodzieży, jednak w perspektywie młodych składa się na to kilka czynników. Moim zdaniem głównymi są brak świadomości istnienia młodzieżowej rady i jej kompetencji, brak zainteresowania w kwestii działalności samorządu w ogóle, ale również fakt, że być może nie przez wszystkich młodzi jest postrzegana jako równorzędny partner do dyskusji na temat polityk w mieście.

Problem ten oczywiście nie przechodzi bez echa na poziomie krajowym. Nowe regulacje, takie jak nowelizacja ustaw samorządowych z 2021 r. (która znacznie ułatwiła proces zakładania w gminach Młodzieżowych Rad, czyniąc przegłosowywanie składanych przez młodzież wniosków w tej sprawie obowiązkowym) czy nowo powstające ciała w postaci np. Rady Dialogu z Młodym Pokoleniem przybliżają władzy perspektywę młodych. Prawne ramy nie zdziałają jednak cudów bez politycznej woli ze strony samorządowców, którzy do pracy oraz wzmocnienia młodzieżowych ciał przykładają niewielką wagę. Wybory do Młodzieżowych Rad Miast czy Gmin to bardzo często procesy nieprzejrzyste i odbierające poczucie wpływu na rzeczywistość – nikt bowiem nie kontroluje tego, w jaki sposób wybierane są osoby zasiadające w tych ciałach. Bardzo często nauczyciele dokonują wyboru arbitralnie, wskazując na reprezentantów swoich ulubionych uczniów bądź wyznaczając



Il.: Julia Klimkiewicz

Według danych Rządowej Rady Ludnościowej aż 70% gmin w naszym kraju w ciągu ostatnich kilkunastu lat doświadczyło ubytku ludności

niedemokratyczne progi ocen czy zachowania. Jak na zaangażowanie młodej osoby działającej w jakimś obszarze społecznym wpłynie blokada jej kandydatury do MRM tylko i wyłącznie z racji zbyt niskiej średniej ocen? Czy przed dorosłymi politykami ktoś stawia takie wymagania? Dotkliwe są także braki mechanizmów, za pomocą których Rady mogłyby wywierać na miasto realny wpływ. Przy braku woli ze strony polityków cała praca wykonywana przez młodzieżowych reprezentantów jest kompletnie bezcelowa. Temoteusz Dadok dodaje:

Uchwalenie odpowiedniego stanowiska czy wypracowanie wspólnego zdania w MRM to

Co może zrobić samorząd, by zatrzymać odpływ młodzieży do większych aglomeracji?

dopiero pierwszy, a często także najprostsz krok. Następnie należy z tymi postulatami dotrzeć do organów z realną mocą decyzyjną, dlatego pozostajemy cały czas w kontakcie czy to z prezydentem miasta, czy z Radą Miejską. Tak naprawdę realne kompetencje Młodzieżowych Rad wciąż zależą więc od „siły przebicia” i zdolności dotarcia ze swoimi propozycjami do władz samorządowych.

A co wśród młodych piszczy?

Choć w ramach jednego artykułu trudno ująć wszystkie potrzeby młodych, warto zaznaczyć obszary priorytetowe dla miejskich strategii. Celowo wspominam o strategii – myślenie o młodych w mieście musi być bowiem kompleksowe, długoterminowe

i międzyobszarowe. Musi także budować trwałą zmianę, dzięki której młode osoby planujące swoją przyszłość będą w stanie zobaczyć siebie w rodzinnym mieście nie tylko za miesiąc, ale także za 10 czy 20 lat. Zachęcam więc do wykonania eksperymentu myślowego i wczucia się w sytuację młodej osoby, która zastanawia się nad swoją przyszłością.

Tu i teraz.

„Ja” w mieście zaczyna się tu i teraz. Zaczyna się od tego, czy przyszły dorosły czuje się w nim dobrze i czy jego obecne potrzeby są zaspokajane. Są one nierozdzielnie związane z roz-

wojem i możliwością wyrażania siebie. W mieście, w którym po ostatnim dzwonku szkolnym nic się nie dzieje, trudno o odczuwanie szczęścia i przywiązanie do małej ojczyzny.

A przecież wcale nie musi tak być. Bogatą ofertę rozwoju, spotkań czy edukacji pozaformalnej może zbudować także w mniejszych ośrodkach. Często wystarczy jedynie odrobina woli politycznej i otwartości ze strony włodarzy miast, by w przestrzeni miejskiej wyrosły niekomercyjne miejsca, do których można przyjść po szkole pouczyć się, wziąć udział w ciekawych warsztatach lub tworzyć coś wspólnie z rówieśnikami. To miejsca takie jak redakcjaBB w Bielsku-Białej, w której młode osoby uczą się nowych umiejętności i wspólnymi siłami drukują własny

magazyn; jak Świetlica Krytyki Politycznej w Cieszynie, wokół której skupiają się dziesiątki młodych osób chcących uczyć się o samorządności i otaczającym ich świecie. Oba są bezpiecznymi przystaniami, które pozwalają spotkać się z mentorami rozwijającymi zainteresowania i umiejętności. Tego typu przestrzenie czasem powstają w instytucjach publicznych, a czasem wyrastają z pracy organicznej NGO-sów, jednak zawsze potrzebują wsparcia ze strony samorządowców. Dobre finansowanie instytucji kultury, troska o dostępność i atrakcyjność ich oferty, wsparcie finansowe, merytoryczne lub lokalowe dla organizacji pozarządowych nie powinny być opcjonalnymi pozycjami budżetowymi, które, jak to często bywa, jako pierwsze idą pod topór cięć, gdyż są to wydatki na budowę silnej bazy generującej kapitał społeczny i angażującej młode osoby w życie miasta.

Nie można też zapominać o innych potrzebach szczególnie istotnych z perspektywy mło-

Młodzi potrzebują publicznych przestrzeni, w których nie będą musieli wydawać majątku na możliwość spędzenia ze sobą czasu

dych. Jedną z nich jest z pewnością dobrze zaplanowana i tania komunikacja publiczna (również ta nocna). Sytuacja, w której mieszkanie poza centrum lub na jego obrzeżach wymaga powrotu do domu zaraz po zajęciach tylko dlatego, że ostatni autobus odjeżdża po południu, wyklucza

część młodzieży z życia miasta. Istotne jest także zapewnienie bezpiecznych i dostępnych zielonych miejsc do spotkań towarzyskich. Młodzi potrzebują publicznych przestrzeni, w których nie będą musieli wydawać majątku na możliwość spędzenia ze sobą czasu, jak ma to miejsce w modnych lokalach. Potrzebują

Wybory do Młodzieżowych Rad Miast czy Gmin to bardzo często procesy nieprzejrzyste i odbierające poczucie wpływu na rzeczywistość

także atrakcyjnej i przystępnej cenowo oferty kulturalnej, która w mniejszych miastach niestety wciąż się zwią. O tych sprawach młodzież myśli na co dzień.

Co będzie jutro?

Po pierwszych latach młodości zawsze przychodzi pora na ważne decyzje życiowe, wśród których jest m.in. miejsce rozpoczęcia dorosłego życia. Niezależnie od tego, czy podejmowane są one z perspektywy powrotu ze studiów, czy rozpoczęcia pracy po szkole średniej, będą one związane z kwestiami wymagającymi trwałych, systemowych zmian w polityce zarówno krajowej, jak i samorządowej. Są to przede wszystkim sprawy socjalno-bytowe i odpowiedzi na konkretne pytania, takie jak: czy w moim rodzinnym mieście będzie mnie stać na mieszkanie?, czy kiedy zdecyduję się na założenie rodziny, będę miał możliwość skorzystania z publicznego żłobka?, co z dostępem do lekarza?, co z lokalnym rynkiem pracy?.

W dobie kryzysu są to najważniejsze tematy w polskiej

debacie publicznej. Choć trudno w jednym miejscu omówić wszystkie możliwe rozwiązania tych problemów, jedno pozostaje pewne: nie rozwiążą ich liberalni politycy spod hasła „nie da się”, którzy wzorem prezydenta Białegostoku Tadeusza Truskolaskiego mówią aktywistom, by sami budowali mieszkania. Nie

rozwiążą ich także pravicowi autorzy uchwał o „strefach wolnych od LGBT”, którzy politykę prorodzinną postrzegają w kategoriach fantazji i wymagowanych wojen ideologicznych. Aby zatrzymać odpływ młodych, potrzeba odważnych, postępowych polityk skierowanych na rozwiązanie kwestii społecznych, a nie zakrywania ich stertą tematów zastępczych, jak ma to miejsce obecnie.

Da się zrobić

Powstrzymanie depopulacji polskich małych i średnich miast nie jest więc zadaniem niemożliwym do wykonania. W rzeczywistości wymaga ono po prostu zmiany priorytetów i perspektywy rządzących. Więcej głosu młodych, więcej zaufania i otwartości wobec społeczeństwa obywatelskiego, więcej zajęcia się realnymi problemami zamiast odklejonych od życia dyskusji na pewno pozwoliłoby młodym spojrzeć raz jeszcze na swoje miasta i miasteczka z nadzieją. To wszystko da się i trzeba zrobić. ♦

Piotr Masierak

Miasto moje, a w nim queer

Przeprowadzka z mniejszego ośrodka do większego to zjawisko stare jak sama urbanizacja, obecne od starożytności, a niezwykle nasilone wraz z narodzinami kapitalizmu. Miasto jest przestrzenią oferującą wiele perspektyw niedostępnych w innych miejscach, przede wszystkim w kontekście klasowym. Jest jednak grupa, która podejmuje się migracji nie tylko ze względów bytowych – to query¹, dla których często jest ona ratowaniem własnego życia.

„Miłości, której potrzebujesz, nigdy nie znajdziesz w domu”²

Podczas gdy konserwatyzm zazwyczaj ma się dobrze na prowincji, miasta od zawsze stanowią awangardę postępu obyczajowego, a anonimowość, którą dają swoim mieszkańcom, dla członków mniejszości bywa zbawienna. Proces queerowej migracji jest tak powszechny, że doczekał się wielu przedstawień w kulturze: od słynnej piosenki Bronski Beat *Smalltown Boy*, będącej jednym z nieoficjalnych hymnów społeczności LGBT+ na całym świecie, przez kultowy serial HBO *Euforia* czy bardzo głośne w ostatnich latach książki rozprawiające się z queerowym dorastaniem na prowincji, takie jak *Powrót do Reims* Didiera

¹ Opisując w tym artykule osoby ze społeczności LGBTQ+, często używam parasolowego określenia „queer”, mieszczącego w sobie wszystkie jednostki, które nie wpisują się w heteronormatywność.
² Fragment tekstu utworu Bronski Beat *Smalltown Boy*, tłum. własne.

Eribona czy *Koniec z Eddym* Edouarda Louisa. Pozycje te pokazują m.in. bardzo głęboko zakorzeniony trend w doświadczeniu osób LGBTQ+: wyjazd osoby nieheteronormatywnej z małego ośrodka do większego to trasa, którą pokonuje w swoim życiu większość queerów.

A jak jest w Polsce? Powiedzieć, że sytuacja społeczności LGBTQ+ jest nie do pozazdroszczenia, to nic nie powiedzieć. Homofobia nad Wisłą jest wciąż niezwykle silna i dodatkowo wzmocniana oficjalnym przekazem obozu władzy, takim jak niesławne „strefy wolne od LGBT”. Im dalej od

dużych ośrodków, tym większa dyskryminacja i alienacja ludzi odstających od konserwatywnej i kościelnej normy. W tym krajobrazie nie może dziwić fakt, że wiele queerowych osób, gdy tylko osiąga etap samodzielności, musi szukać szansy na życie w zgodzie z własnym „ja” na terenach bardziej zurbanizowanych.

– Jestem z poprzemysłowego miasta na Podkarpaciu liczącego około 50 tys. mieszkańców. Wyprowadziłem się do Krakowa po maturze, czyli w 2015 r. Wróciłem do rodzinnej miejscowości pół roku temu. W czasach, gdy dorastałem,

nie było edukacji seksualnej w szkole, nie było dostępu do informacji o LGBTQ+, nie było instaaktywizmu. Była katecheza, był Korwin i narodowcy. Ja nie wiedziałem nic – mówi P., 25-letnia osoba queer, która woli pozostać anonimowa.

Brak edukacji seksualnej w Polsce sprawia, że młodzież często nie tylko nie zdaje sobie sprawy z istnienia osób i relacji innych niż hetero, ale brak jej również odpowiednich wzorców zachowania w przypadku spotkania takiej osoby. W takich sytuacjach najczęstszą reakcją na coś nienormalnego, innego i niezwykłego są odrzucenie

i przemoc – zarówno werbalna, jak i fizyczna.

– Kiedy znajomy z zajęć plastycznych w gimnazjum mi się wyoutował rzucając, że urodził się bez męskich hormonów, to w ogóle mi przez głowę nie przeszło, że właśnie powiedział mi, iż jest transpłciowy. Pomyślałem, że niektórzy tak mają i nie wracałem do tego, dopóki kilka lat później nie wyoutowała go moja znajoma, zresztą w ramach ploty i sensacji – relacjonuje mój rozmówca.

Wśród polskiej młodzieży wulgarne określenia osób queerowych niestety wciąż są niezwykle popularne. To kolejny z kamyczków wrzuconych do ogródka polskiej homofobii, którą młodzi ludzie chłoną w domu, na podwórku czy w szkole.

– No właśnie, ploty, żarty, sensacja. Tak się mówiło o queerach. Bo brat kolegi z klasy jest gejem. Bo siostra koleżanki jest lesbą. Każdy, kto zaznaczał swoją nieheteronormatywność, był gnębiony. Każdy. Chyba że sam gnębił innych. No bo jeśli jesteś facetem, któremu kumpel wysłał nagą fotkę, to jeśli pokażesz ją innym, śmiejąc się, że ma małego i nazywając go ołówkiem, to przecież ty jesteś górą. Wtedy masz pozycję w grupie i nawet możesz być trochę „spedalny” – tłumaczy P.

Strach przed odrzuceniem przez grupę powoduje, że młodzież reprodukuje homofobię na masową skalę. W procesie tym uczestniczą również młode osoby queerowe ukrywające własną tożsamość oraz te, które do wniosku, że nie wpisują się w heteronormatywność, dochodzą dopiero po latach.

– W liceum mieliśmy wyoutowanego transchłopaka. Transfobiczne żarty były normą. Nie reagowałem. Nie wiedziałem, że można reagować. Może takie miałem towarzystwo, takich kolegów, ale nie wiedziałem, gdzie znaleźć innych. Tak wyglądały lata 2012–2015 w najlep-

psychiatrii, nietrudno) może prowadzić do okaleczania się lub prób samobójczych. Wg raportu, którego wykonanie zleciła Kampania Przeciw Homofobii, w latach 2019–2020 poważne objawy depresji deklarowało 44% respondentów określających się jako człon-

Podczas gdy konserwatyizm zazwyczaj ma się dobrze na prowincji, miasta od zawsze stanowią awangardę postępu obyczajowego, a anonimowość, którą dają swoim mieszkańcom, dla członków mniejszości bywa zbawienna.

szym liceum w mieście, top 10 na Podkarpaciu. Do dzisiaj boję się reagować. To wszystko jest zakorzenione kurewsko głęboko – zwierza się P.

Domyślna homofobia nie tylko sprawia, że osoby nieheteronormatywne muszą ukrywać swoją ekspresję, ale też bardzo utrudnia docieranie do własnej tożsamości. Brak wzorców środowiskowych i kulturowych ukazujących homoseksualność, transpłciowość czy niebinarność w pozytywnym świetle wielokrotnie doprowadza do zagubienia i poczucia, że problem jest w danej osobie, że to ona jest inna, niedostosowana, wynaturzona. Młodzi ludzie czują się obco, nie mając jednocześnie narzędzi do nazwania i odszukania swojej autoidentyfikacji. Często prowadzi to do pojawienia się lub pogłębienia poważnych problemów psychicznych, w tym depresji i stanów lękowych, co w przypadku braku odpowiedniego wsparcia (o co, przy fatalnym stanie polskiej

koście społeczności LGBTQ+, a 55% z nich przyznało, że miałyby myśli samobójcze. To spory wzrost – w 2017 r. depresję deklarowało 28%, a myśli samobójcze 38%. To nasilenie szczególnie wyraźnie widać wśród osób zamieszkujących powiaty ogłoszone przez władze samorządowe „strefami wolnymi od LGBT”.

– Dorastanie jako queer w mniejszej miejscowości było przedziwnym doświadczeniem: jednocześnie mieszkałem blisko Warszawy i moi rodzice mieli nieheteronormatywnych przyjaciół i znajomych, ale w klimacie mniejszych miejscowości pod Warszawą nie było już miejsca na inność. Teraz często się zastanawiam, czy prześladowanie mnie w podstawówce nie wynikało może z tego, że od zawsze było widać, że jestem „pedałem”. Moja matka była dość rozpoznawalną i kontrowersyjną postacią w małej społeczności miasteczka i stąd też wynikał mój strach przed



Il.: Julia Klimkiewicz

tym wyoutowaniem się – dałbym ludziom kolejny powód do wytykania mnie palcami. A już wtedy doświadczałem dużej alienacji – mówi A., osoba niebinarna, panseksualna i poliamoryczna. Podobnie o latach młodości opowiada Mac, artysta obecnie żyjący i tworzący w Trójmieście:

– Wychowałem się w mniejszym ośrodku. Zawsze odsta- wałem od chłopaków i przez

W niewielkiej społeczności bycie „innym” wzbudza poczucie znajdowania się bez przerwy na cenzurowanym, wobec czego naturalną reakcją jest ukrywanie się

„delikatną urodę” byłem często i chętnie wyszydzany przez kolegów z klasy. Nigdy nie miałem typowo męskich zainteresowań, ale też nigdy nie było to dla mnie problemem – akceptowałem to, nawet uważałem to za zaletę, gdyż świadczyło o mojej wrażliwości. Problem zaczął się w momencie, gdy w moją stronę zaczęto rzucać nie do końca dla mnie zrozumiałe wyzywiska. Miałem szczęście, że spotkałem na swojej drodze osoby skutecznie pomagające mi się odcinać od hejtu w szkole. Byliśmy outsiderami. Z perspektywy czasu widzę, że traktowaliśmy otaczający nas świat jako nieprawdziwy i niefajny, a ten prawdziwy zaczynał się, gdy się spotykaliśmy i spędzaliśmy czas razem. To była jedna z moich pierwszych bezpiecznych przestrzeni, których szukałem w okresie dorastania.

Na bezpieczną przestrzeń Mac niestety nie mógł liczyć w rodzinnym mieszkaniu.

W podobnej sytuacji znajduje się ogromna część nieheteroseksualnej młodzieży, która nie tylko nie może liczyć na wsparcie ze strony rodziców, ale często musi ukrywać swoją tożsamość przed najbliższymi lub ryzykować odrzucenie przez nich.

– W domu zawsze panował klimat „Bóg, Honor, Ojczyzna”, przez co bałem się dopuszczać do siebie jakąkolwiek myśl dotyczącą mojej nieheteronor-

matywności i w zasadzie przez całe nastoletnie życie żyłem w wielkim wyparciu. Dopiero w momencie przeprowadzki na studia pozwoliłem sobie na eksplorowanie tych uczuć – wyjaśnia Mac.

Wreszcie nie trzeba się wstydzić

Wśród queerów powszechnym doświadczeniem po przeprowadzce do dużego miasta jest rozpoczęcie zupełnie nowego życia. Osoby, które do tej pory nie miały możliwości konfrontacji własnych uczuć i doświadczeń z innymi podobnymi do siebie ludźmi, wreszcie znajdują na to przestrzeń. W mieście mają kontakt nie tylko ze środowiskami otwarcie nieheteronormatywnymi, ale też z niedostępną do tej pory ofertą kulturalną i rozrywkową, wychodzącą poza tradycyjny kanon, taką jak np. wystawy queerowej sztuki, imprezy, koncerty, burleska,

występy drag queens czy debaty i dyskusje. Odnalezienie swojego miejsca w tolerancyjnym środowisku jest kluczowe dla akceptacji samego siebie.

– Po przeprowadzce do dużego miasta w moim życiu zaczęli się pojawiać wyoutowani geje, lesbijki i osoby bi. Początkowo tylko na imprezach i jako znajomi znajomych, których zostałem sojusznikiem. Zaczęli się też pojawiać queerowi znajomi z Internetu. Miałem z kim rozmawiać o seksualności i zdrowiu psychicznym. Ludzie chcieli rozmawiać i chcieli słuchać. Było ich coraz więcej, byli mi coraz bliżsi. Dzięki obcowaniu z osobami nieheteronormatywnymi w końcu dotarło do mnie, że jestem biseksualny. Kraków dał mi miejsca, wydarzenia i przestrzeń LGBTQ+. Nauczyłem się od ludzi, że można być queerem, że nie trzeba się wstydzić, że można żyć inaczej. Byłem w queerowym związku i byłem otoczony osobami trans, co w końcu mi uświadomiło, że ich doświadczenia są mi niezwykle bliskie. Dzięki temu przeszedłem przez drogę od „nie mam nic do gejów”, przez „jestem sojusznikiem”, następnie „jestem bi facetem”, „jestem queerem”, do – obecnie – „chyba jestem trans”. W międzyczasie wróciłem do rodzinnego miasteczka i tęskno mi za tym dużym. Robię, co mogę. Rozlepiam lewicowe wlepki i opowiadam to wszystko licząc, że dzisiejsze dzieciaki będą miały lepiej i łatwiej, niż mieliśmy my – mówi P.

Istotną różnicą pomiędzy miastem a małymi ośrodkami jest również względna anonimowość. W niewielkiej społecz-

ności bycie „innym” wzbudza poczucie znajdowania się bez przerwy na cenzurowanym, wobec czego naturalną reakcją jest ukrywanie się. Wyjście na ulicę i możliwość queerowej ekspresji bez obawy o ocenę ze strony osób, z którymi ma się do czynienia na co dzień – jak ma to miejsce w niewielkiej miejscowości – są bardzo ważne dla komfortu psychicznego i poczucia bezpieczeństwa. Życie w nowym mieście pozwala również na przynajmniej częściowe zapomnienie przykrych doświadczeń z poprzedniego miejsca zamieszkania.

– Mając 16 lat, przez konflikt w rodzicami wyprowadziłam się z domu do Warszawy, żeby mieć bliżej do liceum. W ciągu pół roku wyoutowałem się przed sobą. Zapewne w dużym stopniu miała na to wpływ moja bardzo tęczowa szkoła. Osoby uczniowskie mieszkające w Warszawie od urodzenia już wtedy miały za sobą kilka comingoutów, więc moje interakcje z nimi były polem do testowania siebie: może jestem bi, może to panseksualność, niebinarność... W większym mieście zyskałem anonimowość, a wraz z nią wolność w eksperymentowaniu z ekspresją bez strachu bycia rozpoznanym przez kogoś, kto już mnie zna i ma o mnie wyrobione zdanie. Dziś wydaje mi się, że wyoutowałbym się dużo wcześniej, gdyby nie obawa przed kolejnymi formami wykluczenia i przemocy, które w małym ośrodku mogłyby mnie spotkać jako „kolorowe” i bardzo inne od reszty dziecko – tłumaczy A.

Widoczność innych osób spod parasola LGBTQ+ w przestrzeni publicznej jest niezwykle

Wśród queerów powszechnym doświadczeniem po przeprowadzce do dużego miasta jest rozpoczęcie zupełnie nowego życia

ważna. Przed tegoroczną Paradą Równości w Warszawie rozmawiałem z artystką z Berlina, która pierwszy raz odwiedziła Polskę i była bardzo pozytywnie zaskoczona liczbą tęczyowych flag wywieszanych w oknach prywatnych mieszkań czy przy drzwiach lokali otwartych na nieheteronormatywność. W obecnym klimacie politycznym, gdy polski rząd prowadzi otwartą wojnę przeciwko mniejszości, takie solidarnościowe gesty znaczą bardzo dużo: pokazują, że ze swoją „innością” nie jest się samym na całym świecie.

Bardziej tęczo, wciąż mało kolorowo

O ile sytuacja queerów w miastach jest bezsprzecznie lepsza niż poza nimi, użycie słowa „azyl” wciąż byłoby mocno na wyrost. W mieście jest bezpieczniej, a sygnały akceptacji są widoczne w wielu miejscach, jednak Polska dla członków społeczności LGBTQ+ w żadnym miejscu nie jest krainą mlekiem i miodem płynącą. Moje doświadczenie mieszkania w Warszawie – w tym względzie podobne do mieszkania w innych dużych polskich ośrodkach – pokazuje, że poruszanie się po mieście jako queer przypomina dziwnego rodzaju karkołomną grę w Twistera. Na mapie miasta zamiast większych obszarów znajduję jedynie punkty, w których jako osoba niebinarna wyrażająca swoją tożsamość poprzez ubiór, biżuterię i makijaż mogę czuć się naprawdę bezpiecznie. Poruszanie się pomiędzy tymi

wypami akceptacji w połączeniu z nieoutowaniem w miejscu pracy czy edukacji tworzy sytuacje, w których queery doznają swoistego rozdwojenia jaźni. Odwiedzając „safe space” – bezpieczną dla mniejszości przestrzeń – mogę bez problemu pomalować się i założyć sukienkę, zaś w pozostałych częściach miasta, dbając o własne bezpieczeństwo, muszę zakładać „heterokostium” i wpasowywać się w tłum.

Co gorsza, nawet przestrzenie ogłaszające się jako przyjazne osobom LGBTQ+, mimo głośnych haseł o inkluzywności, wielokrotnie w kwestii bezpieczeństwa zawodzą. Wciąż wiele do życzenia pozostawia zachowania często otwarcie homofobicznej ochrony w klubach i lokalach czerpiących zyski z organizacji „tęczowych” imprez, a także brak odpowiedniej selekcji uczestników imprez. Prowadzi to do sytuacji, która miała miejsce na *afterparty* po tegorocznej warszawskiej Paradzie Równości: kilku bardzo nietrzeźwych mężczyzn, którzy nigdy nie powinni się znaleźć na tego typu imprezie, wyzywało mnie od „pedałów”. Nietrudno wyobrazić sobie, jak takie incydenty wpływają na poczucie bezpieczeństwa członka dyskryminowanej w Polsce mniejszości.

Nieliczne prawdziwie bezpieczne przestrzenie niestety mierzą się z własnymi problemami. Obecnie tak się dzieje z Pogłosem – legendarnym kontrkulturowym klubem i jednocześnie spółdzielnią socjalną, przez warszawskie queery nie bez przesady nazy-

wanym „domkiem”³. Budynek, w którym lokal mieści się od 2016 r., czeka rozbiorówka, a ekipa spółdzielcza musi go opuścić do końca września. W tej sytuacji aktywistki, artyści i całe zbudowane wokół Pogłosu środowisko starają się wyrzucić nacisk na władze miasta i dzielnicy, aby te pomogły w znalezieniu nowej lokalizacji na działalność klubu. W czasie gdy obecna ekipa zarządzająca stolicą zbija kapitał polityczny na zapowiedziach wsparcia i zapewnienia bezpieczeństwa społeczności queerowej w Warszawie, upadek Pogłosu byłby niezwykle smutnym i jednocześnie znaczącym wydarzeniem; sprawdzianem, który lokalne władze na polu realnej inkluzywności oblałyby z kretesem.

Amerykańska pisarka i ikona feminizmu Fran Lebowitz w rozmowie z Martinem Scorsese powiedziała: *Jeśli byłeś gejem, jednym z powodów, dla których ludzie w naszym wieku przyjeżdżali do Nowego Jorku, było to, że byłeś gejem... To stworzyło rodzaj zagęszczenia wściekłych homoseksualistów, co zawsze jest dobre dla miasta. Nie ma nic lepszego dla miasta niż gęsta populacja wściekłych homoseksualistów*⁴. Wierzę, że nawet w Polsce nadejdzie czas, w którym władze zarówno na szczeblu lokalnym, jak i państwowym zamiast walczyć ze społecznością LGBTQ+ uzmysłowią sobie, jak wiele energii i świeżości może ona wniesić do tkanki społecznej. Wszyscy byśmy na tym skorzystali. ♦

³ Petycję do prezydenta Warszawy o znalezienie nowej lokalizacji dla Pogłosu możesz podpisać tutaj: <https://naszademokracja.pl/petitions/poglos-szuka-nowego-domu-1> [dostęp: 16.08.2022].

⁴ Fran Lebowitz, Martin Scorsese, *Pretend It's a City*, Netflix 2021.

Równość
nr 3/2022

Wydawca
Stowarzyszenie im. Tadeusza Regera
KRS 0000333135
stowarzyszenie@regera@gmail.com
www.rownosc.eu

Adres wydawcy:
ul. Mieszka I 4/5, 43-300 Bielsko-Biała
redakcja@rownosc.eu

nakład 2000 egzemplarzy
drukarnia: JW PROJEKT Jacek Wiśniewski

Materiał sfinansowany
przez Nową Lewicę

LEWICA

Redakcja Równość

Redaktorka naczelna
Katarzyna Gasparska

Sekretarz redakcji
Paweł Miech

Zespół redakcyjny
Adam Konieczny
Agnieszka Lamek-Kochanowska
Mateusz Merta
Barbara Słania
Maciej Szlinder

Autorzy/ki
Paweł Goliński
Filip Górski
Bartosz Klimas
Piotr Masierak
Agnieszka Pietrzak
Michał Pytlik
Dariusz Zalega
Adrianna Zipper

Korekta
Agnieszka Pietrzak
Michał Pytlik

Projekt graficzny
Mira Larysz

Grafika na okładce
Alicja Beryt

Opracowanie graficzne i skład
Jarosław Hess

Współpraca
Dariusz Lamek-Kochanowski

Kontakt
redakcja@rownosc.eu

Więcej tekstów znajdziesz na:
www.rownosc.eu

Przeczytane? Podaj dalej!

**Podziel się swoim egzemplarzem z sąsiadką,
dobrym kumplem, koleżanką z pracy, szefową,
nauczycielem, sprzedawcą w Twoim sklepie. Pożycz
mamie, bratu, tacie, siostrze i w końcu daj nieznajomej
osobie na ulicy. Niech ta treść dotrze do jak największej
liczby osób!**